

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 22-go kwietnia 1944r.

Rok VI. Nr. 16

KLUCZ PRZYSZŁOŚCI

WYCHOWANIE — CENTRALNE ZAGADNIENIE ŚWIATA POWOJENNEGO

Członek Kongresu Stanów Zjednoczonych, Mr. J. W. Fulbright, jeden z delegatów amerykańskich na odbywający się właśnie zjazd ministrów oświaty Narodów Zjednoczonych, w wywiadzie prasowym udzielonym dnia 13-ego kwietnia b.r. "Daily Expressowi" w Londynie, powiedział m.in.:

"Look what the Nazis did during ten years in educating their people for evil. Don't you think the democracies could do better still for good if they got together? ... We have machinery to feed Europe after the war, rehabilitate it, rebuild it, set up new economic agreements. Why leave education out?" /Niech pan patrzy, czego dokonali hitlerowcy w ciągu lat 10-ciu wychowując swój naród w złem. Czy nie sądzi pan, że demokracje mogłyby dokonać o wiele większych rzeczy w służbie dobra, gdyby zespoliły swoje siły? Mamy już organizacje dla wyżywienia powojennej Europy, urządzenia jej, odbudowy, dla zawierania nowych układów gospodarczych. Dlaczego wyłączać z tego wychowanie?/

Słowa Mr. J. W. Fulbrighta trafiają w sedno; członek Kongresu U.S.A. wypowiedział jasno i dobitnie, co nie od dzisiaj na rozmaite sposoby stwierdzają i zaznaczają pisarze i publicyści po tej i tamtej stronie Oceanu: wychowanie jest centralnym zagadnieniem powojennego świata. Bez podjęcia śmiało i na wielką skalę kampanii wychowawczej, bez wciągnięcia młodzieży Europy do tej akcji, bez rzucenia nowych haseł współpracy, ukazania nowych celów przyszłym obywatelom Europy, nie ma mowy o trwałym pokoju, nie ma mowy o stworzeniu atmosfery sprzyjającej rozwojowi prawa, kultury, istotnych swobód ludzkich, ludzkiego obyczaju.

RUCHY TOTALNE I MŁODZIEŻ

Istotnie, wszyscy ci, co mieli sposobność śledzić rozwój ruchów totalnych, musieli zastanowić się nad faktem, że ruchy te oparły się na młodzieży, że położyły one nacisk na zagadnienie wychowania młodzieży, że postanowiły przerościć i urobić plastyczną masę młodych umysłów i serc w tyglu totalnych namiętności.

Przypominam sobie rozmowy z przewodcami faszystowskimi w Rzymie, w obramieniu białego Forum Mussoliniego. Przypominam sobie rozmowy z kierownikami "Hitler Jugend" w Rzeszy, odwiedziły w partyjnym "Ordensburgu", klasztorze narodo-socjalistycznym w Croessinsee na Pomorzu. Te ostatnie nasunęły mi w r. 1936-ym wnioski alarmujące, myśli, które raz po raz, uporeczywie powtarzały wnioski, iż kultura nasza jest w stanie celowej rebarbaryzacji, że tu właśnie, w tych partyjnych klasztorach, gdzie wychowuje się przyszłych przewodców Rzeszy, dokonuje się zamachu na podstawowe zasady chrześcijaństwa, że tu w jakimś osoblwym, wynaturzonym stopie nauki, pruskiego korpusu oficerskiego, freudyzmu, zasad Oxfordu, skautingu, mistyki, afrykańskiego tam-tamu, tworzy się ludzi nowej rasy, barbarzyńców, którzy wierzą, że nawiść jest zdrowa, okrucieństwo rzeczą męską, zabijanie przyjemnością.

Oglądanie zakładu w Croessinsee, gdzie w pośrodku widniał ro-

dzaj pra-germańskiego "wiecu", czyli tingu/źródłosłów angielskiego słowa thing/ — tam to odprawiano wieczorem misteria germańskie, komunie krwi — zapoznawanie się z tą szkołą okrucieństwa /już wtedy zaprawiano młodzież w zawodzie spadochroniarzy/, było jednym z najbardziej pouczających doświadczeń moich w czasie trzyletniego niemal pobytu w Rzeszy hitlerowskiej, doświadczeń, które pozwoliły mi wglądać głębiej w istotę nowoczesnych ruchów totalnych. Będem popelnianym stale przez obserwatorów państw totalnych było kładzenie akcentu na zagadnienia polityczne: przeoczano fakt, że państwa totalne są zjawiskiem odrębnym, że nauka totalna objęła wszelkie dziedziny, że mamy do czynienia z religiami politycznymi, które postanowiły wyprzeć — w ich przekonananiu obumierające — religie objawione. W tych to właśnie partyjnych "klasztorach" ogładało się niejako korzenie kryzysu, głębokie podłoże tej groźnej przemiany, jaka przyjdzie na Europę.

Ale właśnie te partyjne klasztory, te próby totalne stawiania na młodzież musiały postawić wobec każdego uczciwego obserwatora pytanie: dlaczego ruchy totalne czynią takie próby? Oczywiście, wiedzą one dobrze, że młodzież jest czynnikiem dynamicznym, że są w niej olbrzymie możliwości zapалу, że entuzjazm młodzieży łatwo wyzyskać; wiedziały one, że okrucieństwo, bezwzględność są bardziej naturalnym odruchem młodości, aniżeli względy ludzkie, pohamowanie, miłosierdzie. Ruchy totalne chciały wychować swoich janczarów. Ale dlaczego próba ta się im udała? Czy dlatego tylko, że stawały na okrucieństwo, dryl, dyscyplinę, ducha przygody, czyli te wartości, które są wrodzone młodości?

Nie tylko dlatego. Wiedziały one bowiem, że młodzież w państwach demokratycznych była zaniedbana, że nie stworzono dla tej młodzieży odpowiedniego ujścia jej sił i ambicji, że w demokracjach zagnieździła się niebezpieczna mądrość, iż tylko ludzie starzy winni ponosić odpowiedzialność, obawa przed młodością, inicjatywą. Jest rzeczą znamioną, że lotnictwo, broń młodości, nie rozwinęła się w dobie pokoju w krajach demokratycznych. Ale ona to właśnie, jako R.A.F., uratowała Imperium Brytyjskie i sprawę sojuszniczą.

Ruchy totalne zdały sobie sprawę z dynamizmu młodzieży. Wiedziały one, że poczucie rozgoryczenia wśród młodzieży w dobie przemian jest zawsze duże, że niezadowolone ze sposobów działania demokracji istnieje w krajach demokratycznych /n.p. we Francji, gdzie młodzież była szczególnie zaniedbana i poza społecznym obiegiem, że młodzież garnie się do haseł jaskrawych, haseł, które nakładają odpowiedzialność, które wzywają do wysiłku. Ten cały kapitał został zużyty przez ruchy totalne. Gdyby nie młodzież, ruchy te w ogóle nie miałyby rozmachu ani szans powodzenia.

PODKRADANIE CUDZYCH WZORÓW

Jak się to często dzieje, rewolucje wykorzystują doświadczenia przeszłości i ubierają w szaty bardziej barwne dokonania poprzedników, ażeby ogłosić je potem jako swój własny wynalazek. W Niemczech hitleryzm przejął wiele od swoich poprzedników: socjaliści

za swoich rządów dokonali poważnych wkładów społecznych, poprawili los mas pracujących — hitleryzm na gruzach związków zawodowych zbudował swój "Arbeitsfront", nadał organizacji "Kraft durch Freude /we Włoszech podobna próba nosiła nazwę Dopolavoro/ rozmach i rozgłos. Podobnie budowa autostrad, Autobahnen, prowadzona dawniej, przed Hitlerem, bez szczególnego rozgłosu, stała się pod batutą totalną, wydarzeniem teatralnego rodzaju. Każdy niemal kilometr takiej Autobahny otwierano wśród bicia w gongi i tam-tamy. Ruch "Hitler-Jugend" /HJ/ i BDM /Związek dziewcząt niemieckich/ przejął wzory od skautingu. Oczywiście, skauting niemiecki, "Pfadfinder", został zlikwidowany. Ale wzięto ich musztrę, wzory życia obozowego, mundury, niektóre obyczaje. Podobnie we Włoszech usunięto ruch skautowy: Ballila zajęła jego miejsce.

Ruchom tym nadano charakter masowy, potem przymusowy. HJ liczył w r. 1937 około 8.000.000 członków. Nie znam cyfr ruchu włoskiego, ale były one na pewno poważne. Nie są również znane cyfry sowieckie /Komsomol/. Ruch sowiecki ma pierwszeństwo masowego wciągnięcia młodzieży do zadania dźwignia budowy nowej religii politycznej.

Ruchy totalne wykorzystywały zewnętrzne znaki i znamiona wielkiej myśli Lorda Baden Powella. Skauting, jedna z najpiękniejszych myśli XX-ego wieku, idea światła, ludzka, bardzo słusna i mądra w swym założeniu, pomyślana przez mózg i wolę Anglika, rozwinęła się w groźną broń w warsztatach państw totalnych. Tak było zresztą z wielu innymi rzeczami i broniami stworzonymi przez państwa Zachodu, które stanęły w miejscu po zwycięstwie r. 1918-ego i nie chciały wykorzystać wspaniałych darów, jakie los weisnął im w ręce.

MŁODZIEŻ JAKO NARZĘDZIE I JAKO OFIARA

Państwa totalne spostrzegły, że umysły młodzieży są rzeczą niebywale plastyczną, uległą, że zmienić je można niezmiernie szybko, nałamać do nowych pojęć i norm. W ciągu lat 6-ciu hitleryzm dokonał olbrzymich przemian wśród młodzieży niemieckiej. Zmienił on drogą kultury fizycznej sam wygląd młodego Niemca: stał się on teraz — dzięki sportom i zaprawie fizycznej — smukły, zaczął wyśmiewać tuszę, tak dawniej charakterystyczną dla Niemca już koło 30-ki. Ideał piwosza, "mieszczucha z brzuszkim", stał się przedmiotem satyry. Na plażach Rzeszy ogładało się wspaniałe typy fizyczne dziewcząt i chłopców. Atak poszedł także na dawny ideał Niemca: mola książkowego, naukowca, czlowieka z dyplomem. Ideał ten był wyśmiewany, uniwersytety odmieniły swój wygląd, poczęły pustoszeć. Typ awanturnika, condottiera, przewodcy, wyparł dawny ideał usatkwowanego Niemca. "Życie niebezpieczne" stało się zawołaniem tych młodych, rozpierzanych żądzą władzy, kosztujących rozkoszy władzy zbyt wcześnie.

Przekonał się, że wychowanie może dokonać olbrzymich zaisze przemian, że jest to siła wręcz żywiołowa; i to właśnie kazało już w r. 1935-ym czy 1936-ym, kiedy losy wojny były zdecydowane i postanowione, wołać ludziom dalej widzącym, że bez ujęcia wychowania w ręce, bez nadania nowego

rozpedu wychowaniu, bez stworzenia nowych podstaw międzynarodowych dla tego wychowania — nie ma mowy o spokoju i pokoju, o zachowaniu kultury, o swobodzie ludzkiej.

Dzisiaj stoimy w obliczu ruiny Europy, wielu wartości ludzkich, w obliczu spustoszeń w dziedzinie moralnej; rabunkowa gospodarka państw totalnych na żywej krwi społeczeństw, na młodzieży, daje straszliwe wyniki. Wiemy, że młodzież Niemiec nie powróci w poważnej części z pól walki. Ci, co wrócą będą skłóceni ze sobą i z otoczeniem, będą żarzeni władzą, żądzą panowania. Młodzież ta jest stracona. Młodzież krajów podbitych poniosła potworne straty: przez wyniszczenie fizyczne, przez wygłodzenie, niedożywienie, przez ustawiczne zawieszanie grozy. Ruina nerwów, wynaturzenie wyobraźni, spalenie instynktów, nasilenie nienawiści, utrzymywanie uwagi w stanie ustawicznego pogotowia, — a dalej straty w wykształceniu, rozwoju umysłowym. Oto jest bilans, najbardziej może tragiczny bilans oporu Europy. Wszystkie te ruchy podziemne żyją krwią i kapitałem młodzieży. Europa płaci straszliwy haracz za swoją walkę przeciwko przemocy.

JEDNOŚĆ EUROPY PRZEZ WSPÓLNE WYCHOWANIE

Co zrobić, ażeby tej Europie wycierczonej, skołataniej, wyzutej z poczucia prawa, dać okres pokoju, ażeby doprowadzić ją do stabilizacji, zjednoczenia sił, scalenia? Trzeba zacząć od wychowania. Trzeba wziąć się do wytworzenia w systemach wychowawczych krajów i państw takiej atmosfery, ażeby młodzież Europy została pozyskana dla myśli współpracy. Młodzież Europy musi być wciągnięta w tryby wielkiego dzieła: idea zjednoczenia Europy wydaje mi się myślą, która może zapalić umysły, która potrafi wykrzesać zapal wśród setek i tysięcy.

Idee skautingu, organizacji YMK-i, wszystkie twórcze myśli wychowania muszą być zmobilizowane dla tego celu. Pamięamy dobrze, jak szybko nawiązywały się nici porozumienia między młodymi na zjazdach, na obozach międzynarodowych. Ale nie możemy przestać na wakacjach tylko, na rzeczach od święta. Program wychowania musi być podjęty na olbrzymią skalę. Będzie on, moim zdaniem, jałowy, jeżeli nie zdobędziemy się na takie m.in. założenia:

1/ Stworzenie stałych szkół i obozów międzynarodowych dla najmłodszych wszystkich krajów Europy, gdzie tysiące i setki tysięcy młodzieży mogłyby uczyć się języków: angielskiego, francuskiego jako języków porozumienia międzynarodowego. Przy łatwości, z jaką wiek najmłodszy przyswaja sobie obce języki, wyniki byłyby na pewno doskonałe.

2/ Wymiana młodzieży szkół średnich między krajami Europy, masowe obozy, gdzie poza sprawami nauki podawanej na płaszczyźnie szerszej niż narodowa, mogłaby istnieć również wspólna zabawa, sporty, a nawet praca fizyczna /angielski system W.L.A., czyli kobiecej armii rolniczej, okazał się znakomity/, szczególnie praca na roli, praca przy odbudowie dróg i t.d. w krajach spustoszonych wojną.

3/ Wymiana masowa młodzieży uniwersyteckiej, wzajemne gościnie wszechnic Europy, stypendia

dla setek słuchaczy; organizacja wzajemnej pomocy naukowej wszechnic, pomoc laboratoryjna, wymiana profesorów na wielką skalę.

4/ Opracowanie podręczników historii Europy w duchu, który by sprzyjał jej zjednoczeniu.

Te cztery punkty wydają mi się istotne. Masowa wymiana młodzieży, otwarcie granic dla młodzieży, danie jej sposobności do poznania się, do jeżdżenia po Europie, do terminowania w rozmaitych warsztatach — oto jeden z momentów, który przyczyniłby się waleńnie do rozładowania atmosfery w Europie i wytworzył grunt, na którym uprawa Europejszka mogłaby naprawdę stać się czymś realnym. Mówienie o zjednoczeniu Europy, o duchu europejskiej wspólnoty, będzie pięknym fraze-sem, dopóki nie powołamy do życia norm i form, ram i warsztatów pracy naprawdę i szczerze europejskich. W tej trudnej pracy, pracy na pokolenia, trzeba zabrać się do roboty od samych fundamentów. Wychowanie stanowi właśnie ten fundament.

POKÓJ BĘDZIE WYMAGAŁ WYSILKU I POŚWIECENIA

Plan zjednoczenia Europy winien być planem cierpliwym, elastycznym; winien on zacząć od rzeczy istotnych, od wychowania, od organizowania energii przyszłości, od młodzieży, od szkoły, od stworzenia dla młodych, nawet najmłodszych nowych możliwości, nowej wizji Europy. Niech poznają Europę, niech poznają sąsiadów, niech wyzbywają się przesądów narodowych, które w dużej mierze wynikają z zaścianowości, nieznamomości świata, niech cieszą się bogactwem form Europy i chronią to bogactwo, albowiem międzynarodowa współpraca nie oznacza, jakiegoś upowszechniania form, jakiegoś "gleichschaltowania" narodów. Przeciwnie, energie twórcze wszystkich narodów są potrzebne, inaczej bowiem Europa zmieni się w koszarę nudy, biurokracji, pustki, materializmu.

Wychowanie jest kluczem przyszłości Europy. Od nas zależy, ażeby klucz ten nie został zagubiony. Jeżeli niektóre państwa zdolne są wydawać 15 milionów funtów szterlingów dziennie na cele wojny, jeżeli w dobie wojny społeczeństwa zdolne są do olbrzymich wysiłków i poświęceń — to musimy ducha tego utrzymać po wojnie. Nie możemy dopuścić do demobilizacji tego właśnie ducha. Lord Woolton, który obecnie piastuje resort ministra odbudowy, powiedział w mowie swojej wygłoszonej dnia 14-ego kwietnia, iż najbardziej przeraża go powrót do apatii, do niechęci, bezwoli, jaka cechowała "haniebną okres między wojnami". Lord Woolton ostrzegł przed przewagami plaskiego materializmu, który chce wszystko rozwiązywać według schematu gospodarki — wskazał na utrzymanie tej duchowej gotowości, tego zapалу i entuzjazmu, który umożliwił wytrwanie w dobie wojny.

Istotnie, musimy w dobie pokoju zdobyć się na rzucenie milionów na cele wychowania młodzieży Europy. Musimy utrzymać zapal, którego brak przesądził o klęsce demokracji w krajach Europy. Musimy tym nowym myśleniem dać rozpęd i siłę — a dać ją możemy tylko wtedy, jeżeli zaprzęgniemy do tego motoru jutra, obywateli Europy przyszłości: młodzież.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

TARNOPOL I SEBASTOPOL

W ciągu ostatnich dwóch tygodni — t.j. od czasu ostatniego "Szkicu" pisanego przed Wielkanocą — niewiele nowych rzeczy wydarzyło się na froncie wschodnim. Słży one na ogół po linii przewidywań obserwatorów: parcie rosyjskie na linii Kowel-Tarnopol jakby utknęło, wojska sowieckie uderzają ku przełęczy Tatarskiej w słusznym przekonaniu, że wbiec klina między Małopolską a Ruś Przykarpacką było by groźne dla Niemców, akcja w stosunku do Krymu nie napotyka na większe przeszkody, albowiem półwysep ten był już zdawna ogołocony z wojsk i pozostawiono na nim głównie siły rumuńskie.

Jakoż istotnie, Kowel został odbity przez Niemców, a chociaż Tarnopol zajęty został przez wojska sowieckie, to stało się to dopiero po 5-tygodniach bojów. Komunikaty sowieckie i doniesienia brytyjskie z frontu wschodniego — czy raczej z Moskwy, a jeszcze bardziej ze stolic neutralnych — powiadają, że Niemcy skupili poważnie siły na tym odcinku, ażeby odparować ciosy sowieckie. Mówią też doniesienia nawet o możliwości jakiegos przeciwdziałania niemieckiego, chociaż to wydaje się dosyć nieprawdopodobne.

Wojska węgierskie, które raz do stały cież pod Dubnem, przetrzepane zostały znowu pod Kołomyją. Wojska sowieckie znalazły się na granicy Rusi Przykarpackiej. Śniegi leżą jeszcze na szczytach Karpat Wschodnich, a obrona przełęczy nie powinna być ciężka. Wydaje się jednak, że wojska węgierskie nie okazują zbyt wielkiej ochoty do walki. Przygotowanie bojowe tych wojsk nie wydaje się poważne, a uzbrojenie musi pozostawiać wiele do życzenia. W tych warunkach dywizje węgierskie /jest ich pono od 11-tu do 16-tu w granicach Węgier, a 11 poroższawano tu i tam na froncie wschodnim/ nie wydają się stanowić dla Niemców wielkiego atutu. Nie trzeba przypuszczać, ażeby Niemcy zbytnio na nie liczyli. Rumuni wykruśzeni są poważnie, ale wojska rumuńskie, okazywały w tej wojnie — pod dowództwem niemieckim — wcale dobre walory.

Na Krymie wojska sowieckie postępowały niezmiernie szybko, gdy raz złamały obronę na Perekopie. Było rzeczą wiadomą od miesięcy, że Krym jest ogółocony z wojsk, że oddziały niemieckie ewakuują się i że Rumuni stanowią trzon przereżonej obrony. Nic więc dziwnego, że postępy sowieckie były bardzo szybkie i że Sebastopol osiągnięty został

po kilku zaledwie dniach. Lotnictwo sowieckie rozprawia się z Rumunami, którzy chcą zmykać z Jałty i Sebastopola. Podobnie lotnictwo morskie floty czarnomorskiej przeszło do akcji tępiąc uciekających. Doniesienia neutralne powiadają, że lwia część jeńców wziętych na Krymie to Rumuni. Najwidoczniej Niemcy pozostawili ich na pastwę. W Libii zostawiono — Włochów.

Tempo pochodu sowieckiego ku Rumunii uległo zwolnieniu. Najwidoczniej wojska niemieckie zostały tam wzmocnione. Napływają zapewne posiłki przez Węgry, których zajęcie — jak się dzisiaj wydaje — dokonane zostało zbyt późno. Wiele przemawia za tym, że Niemcy zostali zaskoczeni tempem pochodu sowieckiego i że nie liczyli, ażeby Rosjanie znaleźli się tak szybko na linii Prutu i pod przełęczą Tatarską.

CO BĘDZIE NA WSCHODZIE?

Wydaje się, że postępy sowieckie na froncie wschodnim będą trwały, przy czym nie wiemy, który odcinek ruszy się obecnie po zdobyciu Krymu. Zamiany strategiczne sowieckie wobec Rumunii są wcale jasne. Bombardowania sojusznice Bukaresztu, Turnu Severin, Ploesti dowodzą, że lotnictwo alianckie wspiera dzisiaj wcale wydatnie i bezpośrednio niemal wojska sowieckie. Niebawem lotnictwo sowieckie będzie mogło podjąć większe operacje z uzyskanych obecnie lotnisk na Krymie.

Okazuje się, że owe szeroko reklamowane linie obronne Niemców na terenie Kresów Wschodnich są, jak się okazuje, bluffem. Zagony sowieckie posunęły się wielokrotnie daleko poza "oficjalną" linię frontu. Wskazywano, iż frontu jednolitego i ciągłego na Wschodzie właściwie nie ma, że "odnosniki niemieckie działają nieraz samodzielnie, w oderwaniu, że podobnie wojska sowieckie przedostają się wcale bezkarnie między członkami armii niemieckiej, przez pustkowia i no-man's-land na Wschodzie. Pogłoski, jakie obiegają prasę światową na jesieni ub.r., że na terenie Polski istnieją wielkie koncentracje niemieckie i że do stu dywizji niemieckich czeka na moment przejścia do przeciwdzierzenia gdzieś na wiosnę 1944-ego — nie potwierdzają się. Być może, że były jakieś skupienia, ale faktem jest, że ich dzisiaj nie ma. Co to oznacza? Znaczy to, że woj-

ska niemieckie w przewidywaniu inwazji od zachodu zostały przerzucone w tym kierunku. Dlaczego Niemcy dokonali takiego bardzo ryzykownego kroku? Zastanawiając się nad tym można by dojść do następującego wniosku:

Niemcy uważają, iż inwazja sojusznicza musi być dokonana w okresie kwiecień-lipiec b.r. Opierają te przypuszczenia na tym, że w Teheranie stanęła jakaś umowa, w której inwazja sojusznicza została określona nie datą, ale tym, że w chwili dojścia Rosjan do jakiejś linii n.p. Ploesti czy Lwowa, sojusznicy muszą przejść do ataku na Zachodzie. Skoro tak, rozumuje sztab niemiecki, to rozprawimy się z inwazją alianctw na zachodzie a potem przetrucimy siły na wschód. Strategia niemiecka uważa, że porażenie lądowań sojusznicych jej się uda, że alianci zachodni nie szybko pozbierają się po pierwszych klęskach i że do kilku miesięcy swobodnego oddechu na zachodzie. W takich warunkach można by przejść do akcji na wschodzie, gdzie na razie odwrót trwać będzie — do jakiejś linii, nie wiadomo.

Być może, że to jest właśnie wytlumaczenie manewru niemieckiego. Nawet jeżeli tak jest, manewr taki wydaje się niezmiernie ryzykowny i nie dziwnego, że musi nasuwać poważne wątpliwości co do jasności myślenia sztabu niemieckiego jak i gospodarki siłami niemieckimi. Faktem jest jednak, że — jak zaznacza sprawozdawca wojskowy "Sunday Times" z 16.IV. — pisma prowincjonalne Rzeszy wygadują się ostatnio z tym, że "jest to doprawdy denerwujące wyczekiwanie na inwazję na Zachodzie i wiązać tak wielkie tam siły, co sprawia, iż ogółocony front wschodni". Tego rodzaju dowody niepokoju i zdenerwowania znajdujemy raz po raz w prasie niemieckiej, co potwierdzało by wniosek, iż przeciętny obywatel Rzeszy zaczyna przejmować się nie na żarty tą ryzykowną grą.

W prasie niemieckiej znajdujemy równocześnie pewne oznaki, które dowodzą, iż w nastawieniu do Rosjan i Rosji dyktuje się urzędowo wcale wyraźna zmianę kursu. I tak n.p., jak donosi prasa niemiecka, jeńcy rosyjscy, którzy byli dotychczas najgorzej traktowani i nosili opaski z napisem "Ost" /owi "Ost-Arbeiter" byli najgorszą klasą, do której nie odnosili się przepisy ludzkości i wzglę-

dy stosowane do jeńców innych narodów/, teraz będą lepiej traktowani, otrzymają nowe odznaki, których, jak tłumaczy jedno z pism Rzeszy "żaden Rosjanin nie będzie miał powodu się wstydzic" i dostają nowe przydziały żywności oraz lepszy żołd. Pismo Goebbelsa "Signal", które wydawane jest ściśle rozrzućnie, przynosi ostatnio reportaże z Rosji, przedstawiające żołnierza rosyjskiego raczej sympatycznie. Ten zwrot w propagandzie daje powody obserwatorom neutralnym do snucia różnych przypuszczeń — politycznych.

NA TEATRZE POLITYCZNYM

Finlandia dała podobno odpowiedź na warunki sowieckie, przw czym odpowiedź ta ma być raczej ugodowa i pozostawiać furtkę dla dalszych rokowań. Atak prasy sowieckiej na Finlandię jak gdyby osłabł.

Po deklaracji Mołotowa w stosunku do Rumunii, w której zapewniono ten kraj, że Rosja sowiecka nie zamierza przeprowadzać żadnych zmian ustrojowych, rozeszły się pogłoski, iż pewne koła rumuńskie za wiedzą premiera Antonescu rokują z Moskwą. Pogłoski te nie uciły. Raz jest to księżna Bibescu, która ma pozostać w kontakcie z księciem Stirbey, przebywającym w Kairze oraz z premierem rumuńskim, raz są to inne osobistości /nawet brat premiera rumuńskiego/. Rzekomo Sowiety oświadczyły, iż gotowe są rokować z rządem Antonescu pod warunkiem, że wycofa się z wojny i przestanie współdziałać z armią niemiecką.

We Włoszech Wiktor Emanuel obiecał abdykować w chwili, gdy wojska sojusznice zajmą Rzym. Syn jego, książę Umberto, następcą tronu, ma zostać regentem Włoch. Partie polityczne Włoch zaczynają przebąkiwać o porozumieniu. Komuniści pod wodzą malowniczego awanturka Ercole Ercoli dokonują znanych łamańców na rozkaz chlebobawców: o ile przedtem wołali o abdykację króla zaraz i raz na zawsze i o zniesienie dynastii, teraz pogodzili się z królem a natomiast chcą wypchać liberałów, jak Croce i Sforza. Czy uda się stworzenie rządu na t.zw. szerokiej podstawie, nie wiemy.

Cordell Hull oświadczył, że sprawa "wojskowego statutu Rzymu" rozważana jest przez rządy zainteresowane. Być może zatem, że dojdzie do jakiejś ewakuacji Wiecznego Miasta,

czego należało by sobie ze wszechmiar życzyć. Pogłoski, że Niemcy zamierzają w ogóle opuścić Włochy i oprzeć się na Alpach, nie znajdują jeszcze potwierdzenia. Kto wie jednak, czy strategia niemiecka przyciśnięta niebyswale, nie posunie się i do tak ryzykownego kroku.

Ameryka i Anglia skierowały ostrzeżenie pod adresem państw neutralnych, ażeby nie pomagały Niemcom. Turcja przyjęła ostrzeżenie to raczej zycielwie, jakkolwiek ona to właśnie zawarła nowy układ handlowy z Rzeszą, co było by dowodem, że nie liczy na szybki upadek Niemiec. Dostarczanie przez Turcję chromu Rzeszy stanowi rzecz poważną, albowiem chrom niezbędny jest przy wyrobieniu stali, szczególnie potrzebny przy fabrykacji pancerny czołgów. Być może iż Turcja pod naciskiem aliantów zachodnich dokona pewnej rewizji swojego stanowiska. Szwecja odnosi się bardziej chłodno do tych żądań sojusznicych. Prasa szwedzka traktuje je raczej obojętnie, a parlament ma dnia 20-ego b.m. przedyskutować te sprawy. Odpowiedź szwedzka może być grzeszną, ale odmowna. Portugalia pójdzie zapewne na rękę sojusznikom. Hiszpania będzie się musiała liczyć z możliwościami represji. Jakże one być mogą? Przypuszcza się, że jeżeli mocarstwa anglosaskie "pójdą na udrę", to wówczas gotowe byłyby przeprowadzić nawet swojego rodzaju blokadę krajów neutralnych. Blokada taka nie dotyczyłaby Szwajcarii, która objęta jest dalekim morzem niemieckim, ale też Szwajcaria ma najmniejsze szanse stawienia Rzeszy oporu gospodarczego.

W sprawach pomniejszej wagi — przynajmniej na oko — warto wspomnieć o ataku Synodu Prawosławnego na Rzym. Atak ten, jak donosi "Observer" z dnia 16.IV., idzie po linii niedawnego ataku prasy sowieckiej na Watykan. Tym razem jest to atak natury teologicznej: Kościół Prawosławny stara się dowieść, że cała instytucja papiewstwa jest zbyteczna. Uderzenie to dowodzi, że Moskwa podejmuje swoją tradycyjną walkę z Watykanem. Jak słusznie zaznacza "Observer", te manewry kościoła prawosławnego /który, dodajmy, dopiero co podniósł głowę po latach pognebnienia i urzędowego kursu bezbożnictwa/, dowodzą, iż sytuacja krajów katolickich leżących na pograniczu Rosji — jak n.p. Polski — będzie szczególnie delikatna.

Londyn, dnia 16 kwietnia 1944.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Szkic sytuacyjny

Nowości lotnicze

Ponieważ, jak czytamy w tej chwili, konferencja anglo-amerykańska pod przewodnictwem Lorda Beaverbrook'a na temat komunikacji lotniczej powojennej ma widoki powodzenia, co więcej w tej chwili doszło już do pewnego układu między Wielką Brytanią a Ameryką w kwestiiach podziału sfer wpływów, chcemy poinformować naszych Czytelników o kilku sprawach, które niewątpliwie poruszone zostały na tej konferencji. Także Mr. Stetinius, jak fama niesie, ma poza innymi sprawami ustalić ogólne wytyczne współpracy powojennej między Stanami Zjednoczonymi a Wielką Brytanią w dziedzinie lotniczej. Są to sprawy zasadniczej wagi, od nich bowiem w znacznej mierze będzie zależeć ukształtowanie się świata powojennego.

Mówi się o pewnej różnicy poglądów między Londynem a Waszyngtonem na sprawy lotnicze. Należy bliżej przyjrzeć się owym kwestiom spornym, które mogłyby spowodować, jak mówią Amerykanie, iż — gdy skończy się kłopoty z kontynentem, rozpocznie się największy: walka o powietrze między Europą a Ameryką.

Gdy owych sławnych pięciu senatorów powróciło do Stanów z podróży wokół frontów bojowych, uderzyli oni w wielki dzwon. Zaczęli ostrzegać Amerykanów, że w czasach powojennych będą całkowicie zdani na łaskę i nielaskę Brytyjczyków, jeżeli chodzi o bazy lotnicze. Na odwrót znowu, jak to już wiemy ze sprawozdań Izby Gmin, wielu posłów załamywało ręce, że samoloty Stanów Zjednoczonych opanują powietrze powojenne i nie będzie w nim już miejsca dla samolotów brytyjskich.

Wprawdzie prezydent Roosevelt wraz z premierem Churchilllem niedawno ogłosili światu, że sprawa załatwiona, ugodą zawartą, jednak alarmy obu stron nie ustawały, kwestia podziału stref eksploatacyjnych interesowała wszystkich bez przerwy.

Jeżeli przypatrzymy się obu stronom "walczącym" i zastanowimy się nad tym problemem, od razu uderzy nas fakt, że walka będzie znacznie cięższa dla Brytyjczyków niż dla Stanów Zjednoczonych. W Brytania jest w znacznie większej mierze uzależniona w swym istnieniu od handlu zagranicznego niż Stany Zjednoczone. W czasach przedwojennych W. Brytania była zainteresowana w 40% handlu światowego, dlatego też sprawy komunikacji są i będą dla niej w przyszłości sprawą życia i śmierci.

Jednakże samoloty muszą lądować i potrzeba im baz. Stany Zjednoczone zaangażowały się mocno w budowanie baz nie tylko w W. Brytani, lecz

i w wielu koloniach, dominiach, czy sferach wpływu brytyjskiego. W myśl umowy między Stanami Zjednoczonymi a W. Brytanią, St. Zjednoczone tracą kontrolę nad tymi bazami w sześć miesięcy po zakończeniu działań wojennych. Co prawda wojna jeszcze nie skończona, lecz przyszłość przedstawia się dla samolotów amerykańskich nie wesoło: W. Brytania ma wszystkie bazy, U.S.A. tylko samoloty. W dodatku i geografia polityczna świata stoi po stronie Brytyjczyków.

Pierwsza lepsza mapa świata wyjaśni nam to dostatecznie: W. Brytania przez swe kolonie i dominia jest, a być może i będzie w posiadaniu prawie kompletnego łańcucha baz lotniczych wokół kuli ziemskiej. Tylko Pacyfik przerywa ów wielki łańcuch, lecz ową przerwę W. Brytania, choć co prawda przy cudzej pomocy, lecz zawsze jakoś mogłaby załatać. W. Brytania mogłaby być, o ile sprawy się nie zmienia, najbardziej niezależnym pod względem lotniczym państwem na świecie.

Stany Zjednoczone są bardzo ubogie w bazy. Na wschodzie granic ich suwerenności jest Atlantyk. Mają wprawdzie pewne bazy, uzyskane drogą pożyczki od W. Brytanii, lecz wątpliwej dla lotnictwa wartości i zawsze — pożyczane.

Południe nie daje U.S.A. wielkiego ujęcia: granicą ostateczną baz jest rejon Panamy. Tylko nad Pacyfikiem powietrze amerykańskie nie jest ograniczone. Otwarte są szlaki powietrzne do Manili czy do Alaski, bez potrzeby przecinania obcych granic i pytania o zezwolenie. Jednak w gruncie rzeczy Stany Zjednoczone musiały się dotychczas obracać ze swą polityką lotniczą we własnych, choć co prawda rozległych granicach amerykańskiego kontynentu.

Mimo to sprawa nie przedstawia się dla Stanów Zjednoczonych całkowicie beznadziejnie; z chwilą wejścia w bardzo ściśle układy lotnicze n.p. z Francją i Portugalią — Stany Zjednoczone od razu stają się całkowicie niezależne od W. Brytanii, która natomiast może w dalszym ciągu pozostać zablokowana na Pacyfiku, bez praw lądowania na Hawajach, czy Alasce.

Niewątpliwie W. Brytania ma te same szanse co Stany Zjednoczone Ameryki w zawieraniu międzynarodowych układów lotniczych.

Jednak w interesie obu mocarstw leży unikanie wszelkich bolesnych skrzyżowań, a do takich należą wszelkie skrzyżowania interesów ko-

munikacyjnych. Oba mocarstwa muszą szukać wspólnego porozumienia i ustalenia generalnej linii postępowania.

W planach politycznych obu jest wielka niewiadoma: Rosja, milcząca i zachowująca w tych sprawach kamienny spokój. Stany Zjednoczone, chcąc rozbudować swe najżywniejsze linie, musiałyby latać przez kraje republik sowieckich. Dla W. Brytanii wolne i bez zastrzeżeń używanie baz wschodnio-europejskich i niektórych azjatyckich jest kwestią bytu, zarówno pod względem komunikacji lotniczej jak i morskiej.

Fakt, że z baz polskich czy rumuńskich można świetnie kontrolować komunikacje morskie na Morzu Śródziemnym, a z baz fińskich czy norweskich — nawet północny Atlantyk, nie może być obojętny ani dla W. Brytanii, ani dla Stanów Zjednoczonych.

Niewątpliwie tedy oba te państwa, mimo różnic, są w przyszłości skazane na jak najściślejszą współpracę w układaniu planów rozbudowy powojennej komunikacji lotniczej.

Wchodzi tu również w grę bardzo delikatna, lecz nie do ominięcia sprawa "własności powietrza", czy — jak ją czasem nazywają — sprawa "wolnego nieba".

Koncerty ZASP'u

TOLA KORIAN

będzie śpiewała

pieśni Britten'a, Kricki, Moniuszki, Ravel'a, Szymanowskiego, Milhauda, Warlock'a oraz pieśni ludowe: polskie, angielskie, amerykańskie, szkockie, francuskie i czeskie

ADELA KOTOWSKA

będzie grała utwory

Chopin'a i Albeniz'a w Ognisku Polskim, 45, Belgrave Square, w sobotę dnia 22 kwietnia o godz. 3-ciej po południu

Nieraz na naszym skromnym odcinku wskazywaliśmy na jego wagę i doniosłość, szczególnie dla Polski, dla jej rozwoju, wreszcie i przede wszystkim — dla stopnia jej suwerenności w przyszłym świecie.

Gdy mowa o wolności powietrza, to wyjaśnić należy, że nie chodzi tutaj o bezgraniczne, niczym nieograniczone prawo latania dla wszystkich po wszystkich odcinkach Wielkiego Koła. Chodzi także o to, jakie prawa będą gwarantować wolność poruszania się w powietrzu, jak te prawa i przez kogo mogłyby być ograniczone, jak wreszcie i jaką siłą będą zabezpieczone.

Sprawa ta grozi bodaj poważnym wybuchem na konferencji pokojowej i jest uważana słusznie przez ludzi rozumnych za bezcenny prochu, która wogóle może rozsądzić Europę.

Jeżeli o nas chodzi, to już dzisiaj wiemy, że Polska znajduje się w położeniu podobnym do brytyjskiego: z bazami, lecz bez samolotów. Jest to położenie raczej uprzywilejowane. W myśl praw rządzących sprawami komunikacyjnymi, kontrolerem wszelkiego ruchu jest zawsze właściciel bazy, a nie właściciel okrętu.

Teraz przejdziemy do spraw dnia dzisiejszego. Ofensywa Sprzymierzonych na Niemcy stale trwa, nawet różnie w sile. Mnożą się jednak głosy, że przy systemie organizacji niemieckiej, będzie ogromnie trudno zniszczyć niemiecki przemysł lotniczy. Niemiecki system organizacji tego przemysłu polega na tworzeniu wielkich zespołów produkcyjnych, całkowicie w swych poszczególnych częściach zestandaryzowanych. Każdy zespół składa się z ośrodka zasadniczego i jednostek produkcji pomocniczej rozrzuconych na szerokiej przestrzeni.

Gdy ośrodek zostanie zbombardowany, personel ośrodka automatycznie zostaje przesunięty do innego ośrodka tego samego rodzaju i klasy, produkującego ten sam typ samolotu i rozpoczyna tam pracę jako szczysta nadliczbowa. Równocześnie poboczne ośrodki kierują swą produkcję do nowego miejsca montażu. To samo dzieje się z ośrodkami pomocniczymi. Z chwilą zniszczenia jednego z ośrodków pobocznych, identyczny w innym zespole podnosi swoją produkcję, zaopatrując dwa ośrodki podstawowe. System idealny, jednak jego elastyczność ma przeciw swe granice. Niewątpliwie przy tym stanie rzeczy całkowite u-

neruchomienie produkcji niemieckiej jest trudne, lecz w dużej mierze zależne od intensywności i częstotliwości bombardowań.

Ze źródeł wiarygodnych dowiadujemy się o pewnych szczegółach związanych z pewnym odcinkiem niemieckiej produkcji lotniczej. Jak już wiadomo, Niemcy zdołali podnieść w pewnym momencie produkcję, przez masową fabrykację samolotów jednosilnikowych. W lipcu 1943 produkcja ta osiągnęła 150% produkcji roku poprzedniego. Brytyjczycy stwierdzili oficjalnie, że w tym czasie pierwsza linia Luftwaffe została powiększona o 1000 samolotów myśliwskich.

W tym samym mniej więcej czasie siły lotnicze Sprzymierzonych zmieniły swe zainteresowanie: ośrodki produkcji okrętów podwodnych przestały być celem intensywnego działania bombowców, natomiast fabryki lotnicze stały się tymi celami. Już koło październik 1943 osiągnięto pewne rezultaty: produkcja niemieckich samolotów jednosilnikowych spadła w tym miesiącu do wysokości zaledwie 3/4 produkcji z czerwca. Wyróżniły to innymi cyframi. Bombardowanie lotnicze zapobiegło produkcji 2300 myśliwców dla Luftwaffe w ciągu czterech miesięcy. Dość ściśle dane za marzec 1944 pozwalają nam przypuszczać, że produkcja myśliwców spadła o dalsze 2/3, produkcja lekkich bombowców mniej więcej tak samo, produkcja cięższych o 1/3. Nie należy uważać, że jest to spadek stały. Wszystkie zależeć będzie jakimi drogami iść będzie dalsze bombardowanie lotniczej produkcji niemieckiej.

Owe sukcesy należy przypisać w lwiej części taktyce amerykańskiej. Co prawda w tej chwili Amerykanie dążą raczej do niszczenia siły żywej Luftwaffe w powietrzu i na ziemi na lotniskach, uważając to w tej chwili za jeszcze ważniejsze od niszczenia produkcji. Gdy cel zostanie osiągnięty i siła Luftwaffe zostanie nadwątlona, bitwa o Europę będzie wygrana w 50%.

Wspomnieliśmy, że cyfry spadku produkcji niemieckiej nie są stałe. Zdolność odbudowy przemysłu niemieckiego jest bardzo duża. Bitwa o Ruhrę trwająca od 5 marca do 25 lipca 1943, przyniosła Niemcom potężne zniszczenia w ich aparacie wytwórczym. Lecz już teraz 1/5 została odbudowana i dlatego to w nocy z 27 na 28 marca bombowce R.A.F. znowu ruszyły starą drogą na Essen. Zaskoczenie było pełne i wyprawa odbyła się bez wielkich strat. Należy przypuszczać, że wiele z odbudowanych budynków znów legło w gruzach...

M. J. GORDON

Gdy Berlin leży w gruzach...

"W czasie nalotu na Berlin przeprowadzanego nocy onegdajszej poważnie ucierpiała dzielnica rządowa. Między innymi została uszkodzona nowa Kancelaria Rzeszy, Ministerstwo Propagandy, Bank Niemiecki oraz mieszcząca się w jego sąsiedztwie Niemiecka Akademia Nauk Politycznych przy Schinckel Platz." /Z prasy/.

I.

Było to wczesnym rankiem, w początkach października roku 1936-go. Dnia poprzedniego przyjechałem do Berlina, gdzie, po skończeniu prawa w Warszawie, zamierzałem robić doktorat z prawa państwowego w Niemieckiej Akademii Nauk Politycznych.

Spałem. Głośnie śpiew wdzierający się do pokoju przez otwarte okno hotelu przebudził mnie ze snu. Ciekawość przezwyciężyła senność i lenistwo; wstałem z łóżka i podszedłem do okna. Ulicą maszerował oddział *Hitler Jugend*, ze stu chłopców, idących ze śpiewem przez zaspane miasto. Byli widocznie dobrze wyszkoleni, zdyscyplinowani, szli równym, miarowym krokiem — typowe szczeniaki bawiące się w żołnierzy. W brązowych koszulach, czarnych krótkich spodkach rytmicznie wybijali takt ponurej pieśni. Pieśń tę słyszałem wówczas po raz pierwszy; później, złowroga jej melodia prześladowała mnie często w ciągu niemal trzech lat pobytu w Niemczech: po ulicach, na zebraniach partyjnych i zjazdach.

"Wir wollen weiter marschieren
Bis alles in Scherben faelt,
Heute gehoert uns Deutschland
Morgen die ganze Welt."

Patrząc na ten oddział i słuchając nieznanego mi dotychczas piosenki, uświadomiłem sobie przepaść oddzielającą niemiecką młodzież hitlerowską od tego pokolenia, które żyło jeszcze pod znakiem ideałów burszowskich: pojedynków, picia piwa, komersów.

Takie były moje pierwsze wrażenia z narodowo-socjalistycznych Niemiec. Parę dni później poszedłem na pierwszy wykład.

Niemiecka Akademia Nauk Politycznych — "*Deutsche Hochschule fuer Politik*" — mieściła się przy Schinckel Platz, tuż nad Szprewą, naprzeciwko byłego pałacu cesarskiego. Był to kwadratowy gmach z czerwonej cegły, zbudowany pod koniec XIX-go wieku, typowy przykład architektury wilhelmińskiej. W roku 1933-im Akademia została, na równi z innymi wyższymi uczelniami Rzeszy, dostosowana do potrzeb nowego reżimu. Ze względu na swój specjalny charakter pozostawała ona pod kuratelą zarówno Ministerstwa Oświaty, jak i Propagandy. Zadaniem jej było kształcenie przyszłych kierowników politycznych partii oraz dyplomatów, jak również fachowe przygotowanie kadr administracyjnych terenów, które według planu władców Trzeciej Rzeszy, miały być niedługo włączone do Niemiec lub podporządkowane Niemcom. Ta strona reszta trzymana była w dyskretnym ukryciu, a to ze względu na obecność kilkunastu studentów zagranicznych, przeważnie robiących dyplomy doktorskie. Tym nie mniej jednak po bliższym wniknięciu i przyjrzeniu się, charakter uczelni jako laboratorium przygotowanego podboju i panowania nad światem, występował w sposób zupełnie wyraźny; charakterystycznym było również istnienie dość rozbudowanego studium polityki kolonialnej.

Atmosfera uczelni była dziwna. Przygniatająca większość tak studentów jak i profesorów nosiła mundury partyjne. Wszyscy Niemcy, Włosi i Japończycy oraz grupa studentów białoruskich i ukraińskich pozdrawiała się pomiędzy sobą hitlerowskim podniesieniem ręki. Okrzyki "Heil" oraz tupot ciężkich podkutek butów po marmurowych posadzkach szkół, sztywny wojskowy sposób bycia całego otoczenia — wszystko to stanowiło zdumiewający kontrast z tym, co sobie obiecywałem po tym rzekomym przybytku wiedzy. Moi koledzy nie chodzili, ani nie spacerowali — potrafili oni tylko "maszerować." Nie rozmawiali, lecz albo meldowali coś, albo też wydawali rozkazy. Przez dwanaście miesięcy pobytu w podchorążówce nigdy chyba nie byłem w otoczeniu tak przesyconym atmosferą wojskową jak tutaj.



Bomby amerykańskich "Fortec" i "Liberatorów", padające na jedno z przedmieść Berlina

Nie było jednak czasu na refleksje. Trzeba się było zabrać do roboty. Nie zwracając uwagi na atmosferę podejrzliwości i niechęci jaka stopniowo zaczęła narastać dookoła mnie, tak z powodu mojego cywilnego ubrania, jak i sposobu bycia, lekkich ukłonów głowy w odpowiedzi na zamieszane pozdrowienia i stronienia od uroczystości oficjalnych, starałem się możliwie wykorzystać czas i pobyt w tym niezwykle ze-

spole. W kilka dni po rozpoczęciu wykładów specjalnie ogłoszenie podało do wiadomości niezwykłą nowinę, iż Goebbels, patron i profesor honorowy Akademii, wygłosi osobiście dwa wykłady na temat propagandy. Myśl, iż niespodziewanie będę miał możność słyszenia wielkiego mistrza propagandowej magii, przemawiającego na temat tej właśnie wiedzy tajemnej, ośskoczył jego sławy i narzędzia dziwnego, a wówczas jeszcze niebardzo zrozumiałego oddziaływała — myśl ta podzielała na mnie fascynująco. Jeżeli człowiek, który podniósł kłamstwo do godności sztuki pięknej, jest w ogóle zdolny do mówienia prawdy, to czyż może być lepsza okazja do usłyszenia czegoś o jego tajemniczej nauce, alchemii słów, niż wówczas gdy przemawia on do swych towarzyszy partyjnych, uczniów i wielbicieli? Tak, myślałem sobie, to jest właśnie jedyna okazja.

Widok tego czarnego, kulawego

a szatańsko inteligentnego, małego człowieka, głęboko wyrył się w mojej pamięci i wyobraźni. Gdy ustawiona przy wejściu czujka dała znać, że zbliża się "On," cała sala zerwała się na równe nogi. Goebbels wszedł wolno poprzez wielką salę, w towarzystwie dwóch adiutantów w mundurach, włączając za sobą kulawą nogę, rzucając na około przenikliwe spojrzenia czarnych oczu, głęboko osadzonych pod olbrzymim uciekającym do tyłu czołem. Doszedłszy do katedry wdrapał się po kilku stopniach na podium i ogarnął wzrokiem słuchaczy. Za plecami miał ogromną, czerwoną flagę ze swastyką na białym tle. Flaga ta przytłaczała go swym ogromem i stanowiła niesamowite tło, na którym wyraźnie rysowała się ciemna sylwetka głowy przecięta, jak nożem, satanicznym uśmiechem.

Jeszcze gdy Goebbels szedł przez salę, oczy kilkuset studentów ani na chwilę nie oderwały się od jego postaci, wodząc za nią jakby zahypnotyzowane a ramiona ich zeszytywały w przepisywanym pozdrowieniu. Ogarnąwszy wzrokiem audytorium, Goebbels wznosił rękę do dość niedbałego pozdrowienia, po którym wyprężone ramiona opadły, i zaczął mówić.

"Propaganda ist die Kunst Glauben zu erwecken" — były jego pierwsze słowa. — "Propaganda jest sztuką rozbudzania wiary."

Goebbels jest dobrym mówcą. Mówi wolno, wyraźnie, niemal cedząc swe słowa, bez przerwy kontrolując reakcję słuchających, dozując okraszania, argumenty i natężenie głosu odpowiednio do wrażenia, a sens słów podkreślając gestami swych długich, suchych, pełnych nerwowej wymowy rąk.

Przekonania i opinie mogą być tworzone, narzucane i urabiane, niemal tak jak się nadaje kształt rzeczom materialnym. Waszym powołaniem, jako przyszłych politycznych przywódców narodu, jest być przewodnikami swych współrodaków, być ich politycznym natchnieniem. Nie wystarczy rządzić za pomocą ustaw, dekretów i rozporządzeń. Nie jest to ani wystarczające ani skuteczne. Nie wystarczy rozkazywać. Ważniejsze jest, aby rozkazy były zrozumiałe i bliskie, co więcej, pożądane i oczekiwane przez naród. Nie można pozwolić na to, by społeczeństwo pytało, dlaczego jego przywódcy działają w taki właśnie sposób. Musi on raczej dopytywać się niecierpliwie: dlaczego rząd jeszcze tego nie zrobił. . . .

Może nadejdą takie chwile, gdy powołani będziecie, aby pomagać mi w prowadzeniu duchowego *Blitzkriegu* przeciwko naszemu wrogom. Chwila ta jest być może niedaleka, ale zapamiętajcie to sobie, waszym zadaniem, jako propagandzistów nie jest tylko wykorzystanie już osiągnię-

tych rozstrzygnięć i wyników, lecz wpływanie na te decyzje i kształtowanie biegu wypadków.

Audytorium patrzyło jak urzeczony i można było chyba słyszeć najdrobniejszy szmer, gdy mówca, robiąc dłuższe przerwy pomiędzy poszczególnymi fazami wykładu z widoczną przyjemnością rozglądał się po sali, delektując się reakcją słuchaczy, wpatrzonych w niego w fanatycznym uwielbieniu.

Jedną z podstawowych umiejętności propagandzisty — mówił on dalej — jest zdolność formułowania swych myśli, przekuwania ich od razu w krótkie, zwarte, sugestywne slogany. Na ogół ludzie nie lubią myśleć. Stąd płynnie użyteczność sloganu, który jest gotową już namiastką myśli, podawaną w skończonej a pociągającej formie masom, tym samym uwalniającej je od przykrego a kłopotliwego obowiązku samodzielnego myślenia.

Choć skuteczną propagandą jest niemal bez wyjątku ta, którą prowadzi strona zwyciężająca, nawet z niepowodzeń można wyciągnąć poważne korzyści natury psychologicznej. Być może zdołamy uniknąć konfliktu zbrojnego, któż to wie — może potrafimy osiągnąć nasze wielkie cele bez rozlewu krwi. Pamiętajcie jednak, iż na to, by osiągnąć swe zamiary przez wojnę trzeba być silnym, ale na to, aby zrealizować je tylko dzięki propagandzie, trzeba być jeszcze silniejszym.

Gdy mówca skończył słuchacze porwali się na równe nogi. Okrzyki "Heil" były odpowiedzią na jego niedbałe pozdrowienie.

— "Dlaczego nie podniosłeś ręki?" — spytał mnie mój sąsiad w czarnym mundurze S.S.-manna.

— "Bo nie jestem Niemcem. . . Ja, jestem Polakiem. . ."

Gdyby wzrok mógł zabijać padłbym na miejscu trupem.

Drugi wykład Goebbelsa odbył się tydzień po pierwszym a poświęcony był wychowaniu politycznemu młodzieży. "Powinniście wpoić w umysły waszych młodszych kolegów z partii, — powiedział na wstępie Goebbels — iż z chwilą wejścia w nasze szeregi nie mają oni już więcej życia osobistego. Ich życie osobiste ogranicza się tylko do snów. Z chwilą, gdy otworzą oczy stają się z powrotem żołnierzami Adolfa Hitlera.

Jeżeli zdołaliśmy pozyskać dla siebie przytłaczającą większość młodzieży niemieckiej — mówił on dalej — to między innymi z tego powodu, że rozpoczęliśmy naszą walkę o młode pokolenie wcześniej, niż inni. Poza tym nasz ruch potrafił przywiązać młodzież do siebie nie tylko dlatego, że rozbudził jej ambicje, ale przede wszystkim dlatego, iż potrafił raz rozbudzone ambicje zaspokoić. W partii młodość przestała być zawadą w karierze a stała się atutem. Powodzenie zespoliło związek młodzieży z partią. Pokoleniu zrodzonemu ze świadomością klęski daliśmy narokoty dumy, nadziei i sukcesu. I dla was przyjdzie jeszcze taki okres, gdy będziecie żyć takim życiem o jakim pokoleniu waszych ojców nie wolno było nawet marzyć. . . .

Drugą część swego wykładu Goebbels poświęcił wyjaśnianiu, jak przyszli polityczni kierownicy partii mają się odnosić do młodzieży "ras niższych", z którymi — jak powiedział — przedźrej czy później przyjdzie się im zetknąć. — Musicie wzbudzić w nich obawę przed sobą. Niewolnicy muszą cierpieć tak fizycznie jak i moralnie, aby naprawdę obawiać się swych panów. Możliwość zadawania cierpienia innym jest miarą naszej potęgi — zakończył on swój wykład.

Nie słuchając owacji do końca, pocichu zebrałem swoje notatki i niepostrzeżony wymknąłem się z sali, aby ująć na długi, bardzo długi samotny spacer nad rzekę

Atmosfera odosobnienia narastała dookoła mojej osoby. Wśród studentów nie miałem wcale przyjaciół. W końcu zauważyłem, że unikają mnie. Byłem po prostu bojkotowany. Miało to jednak swoje dobre strony. Poprostu zacząłem więcej pracować i pilniej chodzić na wykłady.

M. K. DZIEWANOWSKI

S. † p.

plut. podchor. FRANCISZEK MAŁAŃCZUK

były jeńiec wojenny

który przez niewolę, więzienia hiszpańskie i obóz w Miranda del Ebro — szedł ku Polsce zmarł po długiej chorobie w Szpitalu Polowym W.P. w W. Brytanii w dniu 1.IV.1944 r.

Cześć Jego pamięci

Związek byłych jeńców z niewoli niemieckiej

Amerykianie na gruncie europejskim

POWIERZCHOWNOŚĆ OBIEGOWYCH OPINII

Od dłuższego czasu spotyka się ich w Anglii na każdym kroku. Niektórzy nazywają to odkrywaniem Europy przez Amerykę, inni pokojowym podbojem Anglii. Od Edinburgha po Brighton i od Dover po Land's End wszędzie można zetknąć się z przedstawicielami Nowego Świata.

Słyszało się i mówiło o nich dużo, lecz cóż można mówić, znając ich tylko z widzenia i opowiadań innych. Widziało się, jak jeździli notorycznie "Buickami" i "jeepami", jak by mieli w pogardzie wszelkie inne samochody i środki lokomocji. Oficerowie wypełniali wieczorami eleganckie lokale West Endu z "Hungarią", "Grosvenorem" i "Berkeleyem" na czele. Żołnierze podpierali domy wokół Piccadilly. Żuli gumę, palili cygara i każdą osobę płci odmiennej tytułowali "Baby". Gdy raz pewnego zapytałem w okolicy Hammersmith, który autobus idzie na Piccadilly, jakiś Anglik mi odpowiedział: — "Piccadilly już nie istnieje; może pan zajechać na Broadway".

Przeważna ilość ludzi tu w Anglii zna Amerykanów tylko od strony "dolce far niente". Znajomość ta, jak każda znajomość jednostronna i powierzchowna, prowadzi łatwo do nieistotnych uogólnień. Jakkolwiek łatwo można wytłumaczyć człowiekowi, że nie podobna budować swego zdania na znajomości przestrzeni od "Ritza" do Leicester Square i na przegrodnej rozmowie z obywatelem Nebraska lub Illinois, to jednak wiadomo, że w życiu przeważa często taki właśnie, a nie inny sposób kształtowania sobie opinii o ludziach i miejscach.

Ze były to opinie fałszywe, mogę stwierdzić dopiero dziś, gdy życie zetknęło mnie z Amerykanami w innym otoczeniu, niż Londyn. Zobaczyłem ich przy codziennej żmudnej pracy. Miałem możliwość obserwować ich w tysiącnych szczegółach, rozmawiać z nimi i — zaczynać ich rozumieć. Nie chciałbym, by wyrażenie: "zaczynam rozumieć" zostało przyjęte jako osobista zarozumiałość, więc wyjaśniam, iż pomiędzy tym punktem a całkowitym zrozumieniem leżą długie lata. Użyłem go dla podkreślenia różnicy pomiędzy moim byłym nastawieniem do Amerykanów, a obecnym. W studenckim żargonie myśl ta byłaby wyrażona przez powiedzenie: "zaczynam kasać", które jest oczywiście bardziej właściwe.

TRZY CECHY ZASADNICZE

Już przy krótkim poznaniu, bez wielkiego trudu można wyłowić trzy cechy charakteryzujące Amerykanina na gruncie europejskim. Cechami tymi są: głęboki idealizm, świeżość i młodość rasy, oraz energia. Jakkolwiek cecha druga wydaje się podstawowa, wszelkie inne natomiast są prawdopodobnie jej pochodnymi, są one wyodrębnione i zaznaczające się tak dalece, że należy je raczej traktować jako rzeczy podstawowe również.

Idealizm Amerykanów kształtuje humanitarny pogląd na świat. Amerykanin brzydzi się wojną, zdając sobie sprawę, że jest ona poniżeniem godności człowieka. Przyjmuje wojnę jako rzecz narzuconą, od której nie ma wykrętu, przyjąwszy zaś, stara się prowadzić na płaszczyźnie ustroju, a nie człowieka. Okrucieństw wojny, które nie są dziełem przypadku, lecz owocem nienawiści lub sadyzmu, Amerykanin nie rozumie i brzydzi się nimi. Pojęcie zemsty jest całkowicie nierozbudzone lub zapoznane.

—Czym Pan sobie tłumaczy okrucieństwa Japończyków? — zapytał mnie pewien Amerykanin.

—Dwoma przyczynami — odpowiedziałem — po pierwsze niższością rasy, a po drugie chęcią obalenia tabu "Sahiba" na Dalekim Wschodzie. Tabu to było głęboko zakorzenione wśród tamtejszych ludów. Żeby je wykorzenić należy pokazać wszystkim, że "Sahibowi" można bezkarnie gruntować bagnetem trzewia, a jego żonę gwałcić publicznie na ulicy.

Nie rozumiał tego. Przecież można byłoby robić to samo propagandą.

—To jest właśnie propaganda w rozumieniu Japończyków.

—Pan żartuje — odpowiedział.

Ba nie tylko odpowiedział. On w to wierzył.

Cecha druga: świeżość i młodość Amerykanów jest podobna do entuzjazmu uczestników, biorących po raz pierwszy udział w trudnej wycieczce. Jest ona podkreślona jeszcze przez to, że Ameryka jest dopiero od dwóch lat w wojnie. Na miasta Nowego Świata nie padają bomby. To uczucie, że bezpieczeństwo rodzinnego kraju jest zapewnione całkowicie dodaje żołnierzowi amerykańskiemu światła tej beztroski i swobody, której my tu w Europie nie znamy. Wojna dla większości Amerykanów jest jeszcze ciągle wielką przygodą — polem do działania, pracy i bohaterstwa, a więc możliwością, gdzie każda jednostka może się w pełni wyżyć.

Cecha trzecia: energia Amerykanów ma w sobie coś żywiołowego. Jakkolwiek mistrzowie w ekonomii pracy, nie lubią oni iść po linii najmniejszego oporu. Lubią gruntowne dociekanie zagadnień i pokonywanie przeszkód. Nie mają nazbyt utartych szablonów i nie są zasklepieni w doktrynach. Nie starają się uchodzić za nieomyłne wyroczynie, czym na przykład my Polacy często grzeszymy. Chętnie próbują wszystkich dróg i kierunków. Nie zniechęcają się niepowodzeniami; podniecają ich one raczej do większego wysiłku. Nie odrzucają rzeczy fantastycznych. Badają wszystko, póki nie natrafiają na rzecz właściwą.

ISTOTA DYSCYPLINY AMERYKAŃSKIEJ

Żołnierz amerykański jest ujęty w karby surowej dyscypliny, lecz dyscypliny nie mechanicznej, ale dyscypliny, która wynika z samopowstałych praw współżycia jednostki ze społeczeństwem, praw regulowanych rozumem i uczuciem. Żołnierz zdaje sobie doskonale sprawę, że należy do grona wielkiej rodziny, która patrzy na niego, opiekując się nim i ufając mu całkowicie. To uświadomienie obywatelskie jest najlepszym przewodnikiem i drogowskazem każdego Amerykanina. Żołnierz czuje swoje znaczenie i swoją wagę zupełnie zresztą podobnie jak żołnierz angielski i podobnie jak ten ostatni umie traktować skromnie swoje wyczyny. Anglosasi przyjmują wojnę jako postrzępione widowisko, każde zaś widowisko ma to do siebie, że aktorzy są dla widzów, nie widzowie dla aktorów, więc analogicznie żołnierze są dla społeczeństwa, a nie społeczeństwo dla żołnierzy. Podejście to jest więc odwrotnością rzeczy, rozgrywających się w Niemczech, gdzie całe społeczeństwo od wieków jest potę, by psim tyłem służyć przed wojskiem na tylnych łapach.

Amerykanina cechuje naturalność, prostota i brak kompleksów. Z tego powodu każda rozmowa z Amerykaninem jest łatwa, przyjemna i nie męczy nawet w wypadku, gdy nie jest zajmująca. Żołnierz amerykański to nie jest żołnierz w znaczeniu niemieckim — ślepy, doskonale wyretosowany automat, lecz obywatel zachowujący prawa człowieka i obywatela. Regulaminy amerykańskie mogą być wyrazem postępu w dziedzinie nawet tak ograniczonej, jak musztra i przepisy dyscyplinarne. Podkreśla się w nich na każdym kroku, że żołnierz jest to istota

myśląca i czująca. Karność więc żołnierza amerykańskiego nie polega na zabiciu jego myślenia, jak to wyznają jeszcze do dziś zwolennicy szkoły fryderycjańskiej, lecz wprost przeciwnie, na skierowaniu jego uczuć i myśli w określonym i pożądanym kierunku.

SZYBKOŚĆ I DOKŁADNOŚĆ PRZETŁOMACZONA NA JĘZYK LOTNICZY

Organizacja amerykańska poraża swoim rozmachem. Podstawowymi jej cechami są szybkość i dokładność. Amerykanie jednak nie dążą do szybkości jako do celu zasadniczego. Wypływa ona właśnie z dokładności.

—Jeżelibyśmy mieli osiągnąć szybkość kosztem dokładności, w takim razie rezygnujemy z szybkości — powiedział mi pewien Amerykanin.

Jeżeli wojsko amerykańskie jest kwiatem społeczeństwa, to lotnictwo jest kwiatem wojska. Masy dywizjonów bombowych i myśliwskich są stacjonowane w Wielkiej Brytanii w dwóch armiach powietrznych Osmej i Dziewiątej, przy tym ciągle przybywają nowe siły. To co się zaczęło dziać od niedawna w powietrzu nad Niemcami w dzień na urągawisko artylerii przeciwlotniczej: "Luftwaffe", jest dopiero przygrzywką do tego, co się dziać będzie w niedalekiej przyszłości. Lotnictwo amerykańskie już dziś wyzywa zupełnie otwarcie lotnictwo niemieckie do boju. Szuka boju jako pola do popisu. Żąda do zniszczenia militarnej potęgi Niemiec przez zniszczenie przemysłu w fabrykach i produktów tego przemysłu już wytworzonych na lotniskach i w powietrzu.

Lotnictwo amerykańskie góruje nad niemieckim na każdym polu, a więc ilością i jakością sprzętu, ilością i jakością personelu. Świadome tej przewagi, wprowadzi nie lekceważąc "Luftwaffe", ale chętnie jej stawia czoło. Ostatnie bombardowania Berlina w dzień pokazały, iż cała Rzesza, poza wysokość jej stolicy, staje się polem walki. Złudzenia, które Niemcy mieli, iż przynajmniej podczas dnia mogą pracować spokojnie, zostały brutalnie rozwiane. Lotnictwo amerykańskie uzupełnia w ten sposób RAF i wypełnia istniejącą do niedawna lukę.

Znaczenie tego, jakkolwiek już dziś nadzwyczajne, zostanie jednak w pełni odczuć i zrozumiane po obu stronach walczących po kilku miesiącach, gdy szereg skutków połączy się w jedną lawinę. Jest to charakterystyczne dla każdej akcji, która działa nie napięciem, lecz natężeniem. Tak więc pierwsze naloty nocne RAF'u na Berlin, poza zniszczeniami, dały jednak pewne scalenie niemieckiej opinii publicznej i skoordynowanie wysiłku obrony. Każde niebezpieczeństwo, jak wiadomo, jednoczy ludzi. Berlin był więc po pierwszych nalotach zjednoczony. Niebezpieczeństwo jednak trwające stale, lub uderzające raz po razie z niesłabnącą energią, zmniejsza psychiczną odporność, powoduje defetyzm, załamania, depresję, apatię i doprowadza nawet do aktów desperacji.

To też dzisiejszy Berlin nie przypomina Berlina po pierwszych nalotach. Wszystkie doniesienia wskazują, że ludność tego miasta

weszła już całkowicie w stadium depresji i apatii. Być może zaawansła jeszcze mówić o aktach desperacji, nie mniej jednak należy pamiętać, że jest to następne z kolei stadium towarzyszące rozkładowi.

DZIENNE BOMBARDOWANIE NIEMIEC

Zupełnie podobnie przedstawia się sprawa z rozpoczęciem przez Amerykanów bombardowań dziennych Rzeszy na wielką skalę. Skutki tego, jakkolwiek oceniane doskonale przez sztab niemiecki, nie mogą być odczuć od razu przez społeczeństwo niemieckie, ani też nie dają natychmiastowego rezultatu. Natychmiastowym rezultatem jest jedynie wstrząs, o którym już była mowa. Natomiast skutki materialne, jakkolwiek są one niepośledniej skali, są skrzętnie ukryte przed okiem laika.

Takie zjawiska, jak zredukowanie się wytwórczości samolotów niemieckich o 50 — 60%, jak zburzenie jednej po drugiej wytwórni łożysk kulowych, mogą być odczuć dopiero po pewnym czasie. Front bezwarunkowo będzie żył przez pewien czas z zapasów. Że jednak niemieckie czynniki kompetentne widzą trzeźwo nieesołą przyszłość "Luftwaffe", można wydedukować już chociażby z niesłychanej oszczędności w użyciu lotnictwa niemieckiego. Poprzednio każda wyprawa bombowa na terytorium Rzeszy, lub krajów okupowanych spotykała się z reguły z silnym oporem w powietrzu. Obecnie coraz częściej opozycja jest bardzo słaba, lub nie ma jej zupełnie — Co się stało z "Luftwaffe"? — pytają lotnicy.

General Spaatz powiedział niedawno, iż nie widzi przeszkody w całkowitym pokonaniu lotnictwa niemieckiego, gdyby Sojusznicy mieli do rozporządzenia dwa miesiące nieprzerwanej pogody. Powiedzenie to nie jest żadną przechwałką w stylu Goeringa. Wskazuje ono wyraźnie, iż siły Sojuszników w powietrzu przerstają znacznie siły niemieckie i że dopływ świeżych sił, jak i sprzętu jest niewspółmiernie większy po stronie Sojuszników. Nie wdając się w żadne oceny wartości sprzętu, lub morale /które to obie wartości bezwarunkowo górują nad odpowiednimi wartościami po stronie niemieckiej/, a prowadząc kalkulację jedynie na płaszczyźnie stanów liczbowych, można łatwo przewidzieć moment, kiedy drogą zwyczajnej redukcji, "Luftwaffe" przestanie być siłą. Tę to redukcję miał niewątpliwie general Spaatz na myśli.

SZTABY PRACUJĄCE NA ZASADZIE NOWOCZESNEJ ORGANIZACJI PRACY

Sztaby amerykańskie są bogato rozbudowane i odświeżone. Normalnie każda rewolucja wyczerpuje dokładnie stęchłą sztabową, wlewa nową krew i czyni armię potęgą. Wszystkie armie rewolucyjne odznaczały się z reguły dużą siłą rozpędową. Jak wiadomo armia amerykańska po Pearl Harbour przeszła cichą rewolucję. Dużo ludzi z naczelnymi stanowisk odeszło w cień, z cienia natomiast wynurzyli się prawdziwi entuzjasci swego zawodu, ludzie umiejący patrzeć, przewidywać i działać.

Jak cała organizacja amerykańska, tak i ich sztaby są rozbudowane na skalę niespotykaną w Europie i godną zazdrości. Przebija się w tym piętno masowej produkcji, gdzie każda skomplikowana czynność jest rozłożona na czynniki pierwsze, zdumiewające w swej prostocie. To prowadzi do głębokiego i gruntownego poznania a także i uporania się z zagadnieniem w takiej skali dokładności, jaka dla Europy jest jeszcze nieosiągalna.

Mówiąc bardziej dosadnym językiem, sprawa przedstawia się następująco. Nad rzeczą, nad którą w Europie pracuje jeden człowiek, w Ameryce pracuje trzech. Nie wynika to wcale z genialności Europejczyka, lecz z jego systemu chałupnictwa. W jego umysłowości sprawa przedstawia się jeszcze nazbyt prosto, by mogła być rozłożona na czynniki dalsze, jeszcze bardziej proste. Amerykanie natomiast już chwytają swoim zmysłem czynniki dalsze, z tego powodu ich każda gałąź organizacyjna przedstawia sobą przedmiot skończony, przypominający doskonale zaprojektowany, rozplanowany i wykończony dom, podczas gdy domy europejskie są pełne przy i nad-budówek, zagadnienia tu bowiem często przerastają człowieka.

WYPOSAŻENIE, UMUNDURO- WANIE, WYŻYWIENIE

Armia amerykańska wydaje się najlepiej wyposażona, umundurowana i żywno na świecie. Każdy mundur jest przemyślany do najdrobniejszych szczegółów odpowiednio do rodzaju pracy i klimatu, a równocześnie prosty i estetyczny. Na lotniku na przykład przy pracy w warsztatach, przy samolotach, w biurach, nie spotyka się ani jednego oficera lub szeregowca w tak śmieszny i nieodpowiednim do tego rodzaju prac długim płaszczu. Amerykanin chce być swobodny w pracy i uważa słusznie, że długie poly wcale mu do pracy nie są potrzebne i raczej przeszkadzają. Tak więc widzi się tu ciepłe, doskonale chroniące od wiatru i zimna płóciene lub skórzane wiatrówki, battle-dressy lub półkożuski. Mechanicy, pracujący prawie cały dzień na powietrzu, noszą również skórzane, podbite futrem spodnie. Płaszcz zajmuje należne mu miejsce przy mundurze wyjściowym.

Posiłki żołnierza amerykańskiego, dla Europejczyka są prawie luksusem. Nie jest to jednak rozpieszczanie żołnierza wytwornym jadłem, lecz dawanie mu naukowego równoważnika za jego ciężką i niezmordowaną pracę, odpowiednio do możliwości i standardu życia amerykańskiego.

Żołnierz amerykański rzadko śpi w domu, rzadko również w baraku; przeważnie w namiocie. Dobrze to dla człowieka, który przybył wprost z Alaski, iluż jednak przyjechało tu pod szare niebo Anglii z Florydy, Kalifornii, Teksasu. Taki przeskok klimatu i przejście z suchych, ciepłych domów, wprost pod namioty, mogło by stać się katastrofalne, gdyby właśnie nie żywność, obfita w kalorie, dająca dużą ilość wewnętrznego ciepła — i doskonała opieka lekarska.

* * *

Obserwując ten kolosalny rozmach amerykańskiego narodu, przedstawiającego się z wysiłku pokojowego na wojenny, oglądając żmudną, wyteżoną pracę, gdzie jednak żaden atom energii nie idzie na marne, a wszystko zmierzają do ściśle określonego celu, czuje się zachwyt, a równocześnie radość. To wszystko przybliży dzień zwycięstwa, przynosi go z odległej, niewymiernej przestrzeni namicalnie blisko. My Polacy możemy być szczęśliwi i dumni, że jesteśmy w jednym obozie z wielkim i szlachetnym narodem amerykańskim. Mamy dobrą okazję przejęcia od nich wielu wartości, które stanowią o wielkości i potędze narodu, możemy ich również przekonywać o słuszności naszej sprawy.

Pod pierwszymi uderzeniami lotnictwa amerykańskiego, które są dopiero zwiastunami nadchodzącej wielkiej bitwy o wolność ludów, dni zdają się płynąć szybko, niż płynęły dotychczas. Ogromny cień gwiazdzistego sztandaru kładzie się zwolna nad skrawioną w jarzmie swastyki Europą.

MILCZYSZ

- Milczysz —
mily, daleki, nieobecny od tylu lat.
- Mylisz —
nie ma pociechy dla młodości twojej zza krat.
- Milczę:
W druty się zaplątał ten czas, którego ci brak.
- Myszę:
gorzkie istnienie, niedosytu i lęku smak.
- Brzegiem
bytu i śmierci toczy się z losem spór.
- Biegiem
dróg niebezpiecznych. Pod ciężkim sklepem chmur.
- Dmuchał
piachem w twarz wichor, w oczy dmie pył i proch.
- Głuchną
sygnały ciche, jak o ścianę rzucony groch . . .

ALEKSANDER JANTA

STEFAN ŁASZKIEWICZ

Polacy na ziemi włoskiej

Patrol polskich komandosów na Ateletta

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



Żołnierz na placówce w miejscu, gdzie saperzy polscy oczyszczają drogę ze śniegu

We Włoszech, marzec 1944

Wstawał szary świt i mgła zwołała opadała w doliny, gdy patrol przedzierał się przez gęste zarośla na mały wzgórek dominujący nad rzeką. Bliskość nieprzyjaciela powodowała u żołnierzy pewne ledwo-wyczuwalne podniecenie, które kazalo zapomnieć o nieprzespanej nocy, o długim marszu w ciemności przez wąwozy i bezdroża górskie, o poobijanych o gałęzie i pnie drzewne nogach i o "męce" niepalenia przez niekończące się nocne godziny.

Punkty obserwacyjne dające wgląd na drugą stronę rzeki są zajmowane powoli i ostrożnie. Reszta zapada w krzakach i wyczuwa spokojnie, by żadnym ruchem nie zdradzić nieprzyjacielowi swej obecności.

Obserwatorzy patrzą i pilnie obserwują. W lewo na dole rozpościera się miasteczko zrujnowane i zda się wymarłe. Na wprost widać szczątki mostu wysadzonego na rzece. W prawo, na podnoszącym się grzbiecie górskim dwa małe domki panujące nad najbliższą okolicą. Z tych to domków jeszcze wczoraj padały podobno strzały do ludności cywilnej usiłującej przekroczyć rzekę. Czy dziś są tam Niemcy i w jakiej sile — nie wiadomo. Stwierdzenie tego jest, między innymi, jednym z zadań naszego patrolu.

Słońce podniosło się wysoko. W czarnych chmurach potworzyły się dziury. Padające przez nie promienie malują śmieszne kształty jasnych plam wędrujących po zboczach. W miasteczku widać słaby ruch. Z nor i rumowisk wychodzą ludzkie kształty, jakaś kobieta z dziećmi idzie po wodę, niosąc na głowie duży dzban, słychać rąbanie drzewa, gdzieś pies zaszczekał — widać jednak tylko cywilów. Domki na wzgórzu milczą i wydają się puste. Przez chwilę

zdaje się jak gdyby mały, prawie niewidoczny dymek unosił się nad jednym z nich, lecz to chyba złudzenie. Nie ma żadnego ruchu, żaden znak nie zdradza obecności żywej istoty w rejonie tych domków.

Obserwacja trwa długo — minęło już południe, gdy dowódca daje rozkaz do przekroczenia rzeki

jest u nas zwyczaj, że dowódca zawsze idzie pierwszy.

—Jeśli wylecę na minie — to trudno, ale jeśli przejdę to wy macie już bezpieczną drogę — powiedział.

Cały patrol niespostrzeżenie przeszedł bród. Woda chlupie w butach, a mokre spodnie wydają cichy szelest trąc się o siebie. Opodal brzegu stoi mały, zrujnowany domek. Ktoś ostrożnie podchodzi ku niemu i nagłe staje:

—Uważajcie, booby-traps — biegnie cichy szept. Przed drzwiami rozpościera się prawie niewidoczna pajęczyna cienkich drucików, lekkie dotknięcie nawet jednego z nich może wywołać eksplozję założonego ładunku.

Ze wzmogłą ostrożnością sunie dalej wąż patrolu wykorzystując rodzaj szerokiego żłebu biegnącego ze wzgórza ku rzece. Są jakieś płotki, kamienne murki budowane, by ziemia nie obsuwała się ku dółowi, pasy kolczastych krzewów zaradzają drogę. Wąż ludzki wiję się, omijając przeszkody i wykorzystując wszelkie możliwe zakrycia terenu.

Małe zielone półko wabi łatwością przejścia. Kapitan odwraca głowę i mówi coś szeptem do idącego z nim. Nagle staje jak wryty, zatrzymując w powietrzu gotową do stąpienia nogę: w trawie błyszczą nieobeschłą rosą cienki jak włos drucik. Znowu pułapki. Drut dochodzi do zapalnika wkopanej w ziemię i dobrze zamaskowanej miny. W drugą stronę biegnie taki sam drucik, dalej następny rząd drucików i min. Za nim dalsze. Wykonując przedziwne łamańce, stawiając nogi pomiędzy

przód, są już zaledwie 30 kroków od domku, gdy nagle plunęła ku nim seria ze "Schmeissera". Wszyscy padli za mały, półmetrowej zaledwie wysokości murek. Seria szczęśliwie poszła za nisko, tuż pod nogami. Odlamki kamieni dały tylko lekkie zadraśnięcia. Wszystko stało się tak nagle, tak nieoczekiwanie, że nikt nie zaobserwował dokładnie skąd padły strzały. Niewątpliwie od strony domku, ale czy z niego samego, czy z drzew otaczających go wokół? Cicha narada trwa za kamiennym murem.

—Ja się podniosę, by sprowokować nową serię, a wy uważajcie tymczasem dobrze — woła Heniek i wysuwa się zza murka. Okno zamienione na strzelnicę zakopciło się błękitnym dymkiem i grad kul klaszcze o kamienie muru i śwista koło uszu. Seria i tym razem jest niecelna. Strzały w okno uciszają na chwilę r.k.m., granaty jednak nie mogą poradzić domkowi zamienionemu na "pillbox".

Drugi patrol tymczasem został zawrócony ze swej drogi i róbuje zaatakować domek od góry. Skokami od miedzy do miedzy posuwają się strzelcy przez pola ku domkowi, aż wreszcie zajmują stanowiska za głazami i kamiennym murem.

Koło domku coś się poruszało. W tej samej chwili Franek przesadza jednym skokiem murek, za którym leżał i szybko biegnie w stronę domku. Gdy znika za następną miedzą, pada kilka strzałów. Następuje cisza. Długa, dręcząca cisza. Wreszcie po chwili, która wydaje się wiekiem, Franek wyczoł-

—Dlaczego pobiegłeś pod sam domek? Czy nie słyszałeś, że kazałem ci zająć stanowisko za murem? — pyta porucznik.

—Ja zobaczyłem Niemca — ja nie wytrzymałem — odpowiada Franek.

Jest Polakiem z Ameryki, nazywa się Bogucki, pochodzi z Pittsburga i słabo mówi po polsku, ale czuje i myśli jak prawdziwy Polak. Mógł pozostać w dobrze płatnej armii USA, ale za namową matki wybrał wojsko polskie. I tu zgłosił się do oddziału, który najwcześniej mógł znaleźć się na froncie. A gdy zobaczył nareszcie uciążliwego Niemca, nie wytrzymał i wbrew rozkazom skoczył naprzód.

Rana jego jest ciężka. Porucznik bierze rannego na plecy, podnosi się i wolno, uginając się pod ciężarem idzie do góry. Wszyscy wstrzymują oddech, wszyscy czekają kiedy z domku padnie strzał, lub rozlegnie się echem seria "Schmeissera". Przecież sylwetka porucznika jest z domku widoczna jak na dłoni... I tak wolno, przystając co chwila posuwają się w górę... Strzał nie padł. Porucznik dochodzi do zakrytego miejsca i składa rannego na ziemię.

Obserwatorzy meldują, że z osiedla w górze wyszedł patrol niemiecki. Z dołu z miasteczka też wysuwają się jacyś Niemcy. Przychodzi rozkaz odwrotu. Męka jest transport rannego przez pola minowe, przez płotki i murki, przez nurt rzeki. Bród jest widoczny z strzelnicy domku — czy patrol zostanie ostrzelany? Partia niosąca rannego przechodzi spokojnie — dopiero po chwili, gdy ubezpieczenie przekracza rzekę, rozszczękała się z domku długa seria, ale znów niecelna.

Mokrzy i zmęczeni odpoczywają żołnierze w krzakach. Ranny mimo zmienionego opatrunku krwawi i jęczy z cicha. Zapada zmrok. Ktoś sprowadza muła z pobliskiego osiedla i na nim ostrożnie układa się Franka. Długa droga przez jary i wyrwy górskiego "no man's landu" jest prawdziwym koszmarem. Ranny stacza się i musi być ciągle podtrzymywany. Wkrótce traci przytomność. Kamienie usuwają się spod nóg, co chwila ktoś wpada w dziurę, glina oblepia buty i utrudnia posuwanie się. Góry wydają się coraz wyższe i wyższe. Wreszcie po wielu godzinach drogi patrol dochodzi do miasteczka. Lekarz zawiadomiony przez gońca oczekuje na drodze, lecz dotknąwszy rannego, cofa się i krótko stwierdza: "Nie żyje".

Kapitan melduje dowódcy odcinka wyniki patrolu: "W miasteczku i osiedlu są Niemcy. W domkach stanowisko k.m. Rozpoznałem przez walkę. Rzeka możliwa do przejścia". Anglik wysłuchawszy szczegółów wstaje i oświadcza: "Well done" a potem dodaje: "Jest mi bardzo przykro, że ten chłopak zginął. Zaraz każę tam położyć ogień". I gdy ludzie rozchodzili się na kwatery, nad głowami przelatowały już świszające pociski, a hen w dole, nad Sangro, tam gdzie stały na wzgórzu dwa domki, wykwitwały pomarańczowe rozblyski wybuchów.

MACIEJ DRZEWICA

Za samochodem w czasie gwałtownej burzy śniegowej



17 b.m. Naczelnny Wódz, gen. broni K. Sosnkowski wrócił z dwutygodniowej inspekcji II. Korpusu, walczącego w składzie Ósmej Armii brytyjskiej na froncie włoskim.

Sangro. Na brzegu pozostaje słabe — symboliczne raczej — ubezpieczenie; poprzez kolczaste zarośla akacja patrol schodzi nad sam brzeg. Długotrwała susza obniżyła stan wody i nurt nie jest tak wartki — w miejscu brodu woda sięga zaledwie do pasa. Kapitan pierwszy przechodzi rzekę; taki

sieciami drutów ostrożnie — ah, jakże ostrożnie — ludzie patrolu kolejno mijają pole minowe. Trudno określić uczucie jakie się ma wiedząc, że życie wszystkich zawisło na cienkim, niewidocznym nieraz druciku. W każdym razie wszyscy mają tę samą myśl: "Jak to dobrze, że przyszliśmy tu w dzień a nie w nocy, jak to było pierwotnym zamiarem".

Zwolna patrol dochodzi do grzbietu. Na horyzoncie wyrasta sylweta pierwszego z domków. Przed nią wykopane stanowisko r.k.m., widocznie dopiero co opuszczone. Na przedpiersiu leży koc, obok puste butelki z piwa i puszki od konserw. Padają ciche rozkazy — po chwili domek jest przeszukany. Wewnątrz nie ma nikogo. Jedynym śladem są tylko niemieckie granaty ręczne i skrzynka po piwie. Czyżby Niemcy wycofali się w ciągu nocy?

Teraz patrol zostaje podzielony na trzy mniejsze zespoły. Jeden zostaje w domku jako ubezpieczenie, drugi idzie w górę spatrołować znajdujące się tam osiedle, trzeci wreszcie ma przeszukać inny domek, leżący około 100 metrów z boku.

Zachęceny brakiem śladów nieprzyjaciela chłopcy śmiało idą na-

Polski karabin maszynowy na pozycji górskiej



Doppelfenster

Mój pierwszy lot bojowy w wojnie poprzedniej odbyłem na samolocie AEG, wyposażonym w 160-konny silnik Nanybach i uzbrojonym w jeden karabin maszynowy Parabellum / dla obserwatora /.

Zaczęło się od tego, że zmieniliśmy lotnisko: spod Hrubieszowa przetruciono nas pod Sokal. Na krótko przed tym, w Hrubieszowie dowódca naszej eskadry trochę się połamał w wypadku przy starcie. Zastępował go pewien porucznik-obszernik, z dużym brzuchem i maleńką głową, o twardy nerwowej i chudej, w *pince-nez* na wydatnym nosie. Cerę miał białą z odcieniem zielonkawym, wyblakłe niebieskie oczy i w sumie około siedmiu nadpróchniałych zębów, które ukazywały od czasu do czasu między cienkimi, bladymi wargami, przekreślającymi tę brzydkią twarz poziomą linią, niemal od ucha do ucha. Na ogół podobny był do zmartwionej żaby. Głos miał skrzeczący i często niepotrzebnie go podnosił. Krzyczał na podoficerów, groził ogromnym naganem, który nosił w skórzanym pochwie na brzuchu i w ogóle był "lekko trzaśnięty w mózdzek". Ponieważ wiedział zapewne, że jego wygląd zewnętrzny nie jest zbyt marsowy, nadrabiał trzaskaniem obcasami, staniem na baczność i meldowaniem posłusznym wobec przełożonych, patosem zaś lub krzykami wobec podwładnych. Nazywaliśmy go między sobą "Doppelfenster" — od tych bi-

otóż lotnisko w Sokalu wybierał ten właśnie Doppelfenster, przyjechawszy tam z rżutem kołowym eskadry, podczas gdy my, piloci, z trzema mechanikami i tyłu obserwatorami zostaliśmy jeszcze w Hrubieszowie i mieliśmy przelecieć na nowe miejsce postoju w południe nazajutrz.

Tak się też stało. Dolcieliśmy do Sokala z wielkim na owe czasy fasonem, bo w dwóch kluczach po trzy maszyny, nie zaś pojedynczo, i zaczęliśmy szukać owego lotniska. Pierwszy znalazł się sierżant Senecki. Znajdował się w miejscu najmniej odpowiednim, bo pod jakimś klasztorem z wysoką wieżą. Stanowił je trójkatny kawałek łąki, którego podstawę zajmował klasztor, lewy bok — rzeka, prawy zaś — jakieś zarośla i wertepy. Lądować można było tylko wzdłuż rzeki, od szczytu trójkąta, który przechodził tam w bagnisko. Dobiegł maszynę kończył się pod murkiem klasztornym. Było to możliwe, dopóki wiatr wiał od klasztoru. Gorzej było wprawdzie ze startem, wprost na wieżę, ale pocieszyliśmy się, że jeśli wiatr zmieni kierunek, będziemy startowali od klasztoru na bagna. Tylko — jak będzie wtedy z lądowaniem? ... Schodząc z nad wieży, samolot musiałby dotknąć ziemi właśnie tam, gdzie było już grząsko.

Wyraziliśmy dowódcy nasze wątpliwości, a najstarszy z nas, chorąży Ditmer, powiedział, że trzeba wybrać inne lotnisko, zwłaszcza, że w promieniu paru kilometrów jest dosyć pastwisk i łąk. Ale Doppelfenster mu przerwał:

—Wojna jest. Będziecie lądowali, jak się da. Ja teraz nie mam czasu. Sytuacja jest groźna. Trzeba zaraz lecieć na front. Kto na ochotnika ze mną?

Naturalnie powiedziałem, że ja. — Jesteście dzielnym żołnierzem, sierżancie — oświadczył na to Doppelfenster, kładąc mi rękę na ramieniu teatralnym gestem. — Polecimy, wykonamy zadanie i zginiemy, jeśli zajdzie tego potrzeba.

Zrobiło mi się głupio. Otaczała nas grupka cywili, uchodźców, których wojna wyrzuciła z ich siedzib. Stała tam młodzieńca, śliczna dziewczyna, nie dworska panna i nie chłopka; raczej córka drobnego dzierżawcy, może młynarza lub nauczyciela. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczyma i wydało mi się, że jest bardzo poruszona losem, który mnie czeka. To przed nią i przed innymi Doppelfenster tak się zgrywał.

"Jesteście dzielnym żołnierzem" ... Senecki przyklepił tę nazwę do mnie — być może na całe lata ... Ale byłem także wzruszony: wyprawa zapowiadała się emocjonująco.

Porucznik zapowiedział, że mam być gotów za godzinę, bo pojedziemy do sztabu, a maszynę mieli mechanicy przygotować za chwarta.

W ciągu tej godziny zdołałem ustalić, że Baśka istotnie jest córką dzierżawcy z Hrycowoli; że z ciotką i młodszym rodzeństwem uciekły do Sokala i obozują tu z całym dobytkiem, jaki udało im

się wywieźć, oraz — że ma świeże, gorące usta. To ostatnie sprawdziłem ponad wszelką wątpliwość w gęstym zagajniku fasoli, pnącej się na tyczkach w ogrodzie klasztornym.

Jakoś z mniejszą już ochotą siadałem do samochodu, aby pojechać do sztabu z dowódcą: Senecki kręcił się koło dziewczyny, ja zaś — "dzielny żołnierz" — miałem "zginąć, jeśli zajdzie tego potrzeba".

W sztabie wyjaśniło się, że trzeba polecieć na rozpoznanie rejonu Dubno-Równa i przywieźć wiadomości, czy jest tam nieprzyjaciel. Nie poza tym. Doppelfenster oświadczył, że to szalenie ryzykowny lot, ale — "wojna jest," więc naturalnie polecimy.

—Gdybym nie wrócił, co jest bardzo prawdopodobne — rzekł wypinając pierś — melduję posłuszenie panu pułkownikowi, że dowództwo eskadry obejmie po mnie podporucznik Jabłoński.

Pułkownik uśmiechnął się lekko i powiedział, że ma nadzieję zobaczyć nas przed wieczorem, bo na wiadomościach bardzo mu zależy, żebyśmy więc nie narazili się zbyt mocno i wracali zdrowo i cało.

—Rozkaz! — zaskrzeczał mój dowódca, trzasnął obcasami tak, że omal nie stracił równowagi, i — pojechaliśmy na lotnisko z powrotem.

Maszyna była gotowa. Basia rozmawiała z moim mechanikiem, a Senecki i Ditmer poszli na piwo do miasta, co uważałem za dobry znak, tym bardziej, że mechanik szepnął mi na ucho z uznaniem:

—Zakochała się ta panienska w panu sierżancie, jak cholera.

Udałem, że niewiele sobie z tego robię i zapytałem o maszynę.

—Będzie ciężki start — powiedział kapral. — Bomb pan porucznik kazał dać: pięć dwudziestek piątek i dwie dwunastki. Amunicji — jak na batalion piechoty, a do tego jeszcze piętnaście handgranatów.

—Pocóż te granaty? — zdumiałem się.

—Bo ja wiem? Kazał i już.

Porucznik właśnie nadchodził; w kombinie, w lotniczym hełmie na głowie, obwieszony mapami, ze snopem ołówków, wystających z kieszeni i z naganem dynującym u pasa.

—Zapuszczaj silnik! — dął się z daleka, żeby go wszyscy słyszeli. — Lecimy!

Kapral skinął na pomocnika i włączył do kabiny, zaś tłumek cywili zbliżył się i otoczył samolot. Ja, w kominiarce i w skórzanym kurtce, stałem przy skrzydle, niezłownie ścisnąwszy Basię za rękę.

Po kilku przerzutach śmigło skoczyło i silnik zaczął pracować na wolnych obrotach. Doppelfenster wgramolił się do gondoli i kopszył się tam wśród swoich bomb i granatów, jak kura na jajach. Urządził się jakoś wreszcie i ujawnił tyłce karabinu maszynowego, zaczął demonstracyjnie składać się z niego w cztery strony świata. Zarepetował, klepnął dłońią po zamku i nagle — wyrznął długą serię w kierunku miasta.

—Oszała! — przeleciało mi przez głowę. — Co pan porucznik robi?! — krzyknąłem.

Przerwał i spojrzął na mnie ze zdziwieniem.

—Jakto — co? Próbuje broń.

—Ależ tam ludzie mieszkają ... — zacząłem.

—Wzruszył ramionami.

—Wojna jest — oświadczył.

Pewnie postrzelałby jeszcze, ale w tej chwili kapral dał pełny gaz i pęd wichru od śmigła omal nie wymiotti obserwatora z gondoli.

Powiedziałem Basce: — "Bądź zdrowa," i już miałem wspiąć się po stopniu na swoje miejsce za sterem opróżnione przez mechanika, gdy Doppelfenster zawołał:

—Pocałuj go!

Nie zrozumiałem w pierwszej chwili, do kogo stosuje się to polecenie, ale porucznik niedwuznacznie wskazał na mnie palcem i zwracając się do zarumienionej Baśki, powtórzył:

—Pocałuj go, miła panienko.

Nie żałuj: może to będzie ostatni pocałunek polskiej dziewczyny ...

Zły byłem, jak diabli. Nie mogłem przecież powiedzieć temu idiotcie, że pod tym względem nie potrzebuję jego pomocy i że tę sprawę załatwiliśmy już poprzednio. Prędko postawiłem nogę na

stopniu i podciągnąłem się w górę.

—I módl się za nas — dodał jeszcze Doppelfenster. — Może wrócimy ...

—Zdając podstawki!!! — wrzasnąłem na mechaników.

Szarpnąłem rączkę od gazu, wykręcając z miejsca na skraj lotniska, skutkiem czego Doppelfensterem rzuciło w tył, jak workiem piasku. Zanim się tam pozbierał, dałem pełny gaz i ruszyłem prosto na klasztor, zadzierając wysoko ogon.

Start istotnie był ciężki: zdołałem oderwać samolot w dwóch trzecich długości łąki i przejść tuż nad dachem klasztoru, mijając wieżę o metr. Okrzyknąłem miasto i zmniejszywszy obroty zapytałem, w którą stronę mam lecieć.

—Tam! — pokazał Doppelfenster na zachód.

Wydawało mi się, że lecimy w złym kierunku, ale nie protestowałem. Po kwadransie porucznik powiedział, że się omylił. Pokazał mi mapę, którą zabrałem mu bez ceremonii i skręciłem na południowy wschód. Doleciałem do Bugu i pokazałem mu, gdzie jesteśmy.

Według busoli nikt wtedy nie latał, a choć mieliśmy ten niepepny przyrząd na pokładzie, to jednak nie był on skompensowany i wskazywał północ z dokładnością bardzo dowolną.

Wystartowaliśmy o pół do piątej, straciliśmy pół godziny w powietrzu na ten wypad na zachód, a do celu było ze 200 kilometrów pod wiatr, to jest więcej, niż półtorej godziny lotu. Licząc jeszcze godzinę na rozpoznanie rejonu, doszedłem do wniosku, że nie zdołamy wrócić przed zachodem słońca. W rzeczywistości lecieliśmy do Dubna dwie godziny ...

Ziemia z wysokości czterystu metrów była dobrze widoczna. Puste drogi, wsie wyludnione, stacje kolejowe linii Brody-Dubno zamarłe. Nie widać było żadnego ruchu, żadnych wojsk, taborów, pociągów.

Doppelfenster siedział spokojnie, patrząc w mapę / miał ich kilka /, i tylko od czasu do czasu wyglądał to na lewo, to na prawo. Dopiero kiedy znaleźliśmy się nad lasami przed Dubnem, nagle się ożywił. Coś tam majstrował w swojej kabinie, potem się wychylił za burtę i machnął ręką. Przymknąłem gaz, nie wiedząc o co mu chodzi, i w tej samej chwili usłyszałem stłumiony huk. Coś smagnęło po sterach ...

—Strzelają! — przeleciało mi przez głowę. Ale nie mogłem nic dojrzeć przez gęste korony drzew pod nami, a obserwator schował się w głębi gondoli. — Zdawało mi się — pomyślałem.

Wtem w lusterku zobaczyłem, jak Doppelfenster zamierza się granatem i ciska go w dół, pod skrzydło. Huknęło, trzępęło odłamkami wyrwijając w płótnie dwa lub trzy otwory, i siwy obłoczek dymu został za nami w powietrzu.

—Co pan porucznik robi?! — krzyknąłem, zamykając gaz.

Śmiał się zadowolony:

—To na próbę! — odrzekł.

Pokazałem mu dziury w skrzydle. Przestraszył się i wykrzywiając głowę, uderzył się dłońią w czoło:

—Prawda! Trzeba rzucać zaraz po zapaleniu!

—Ale po co? — zapytałem ze złością.

—Bo w tych lasach na pewno jest kawaleria nieprzyjaciela — odparł.

Wzruszyłem ramionami, on zaś dalej rzucał granaty, aż do ostatniego.

Nad Dubnem oświadczył mi, że zbombardujemy stację kolejową. Nie pytałem już dlaczego, tylko okrążywszy miasto leciałem wzdłuż torów, pod wiatr. Naprowadzał mnie nerwowo, to za bardzo w lewo, to znów w prawo, i rypnął pierwszą dwudziestkę piątkę w szczerze pole. Co gorsza, drugą i trzecią wyrzucił na skraj miasta, między jakieś budynki, czwartą na sam rynek, rozbijając kilka pustych straganów, piątą zaś — w drewnianą szopę, która zaczęła się palić. Dwie dwunastki umieścił w bajorku, po którym pływały kaczki, i — bardzo zadowolony — zarządził odwrót.

—A do Równego nie lecimy? — spytałem.

Spojrzał na zegarek i powie-

dział, że już późno.

Istotnie było późno. Słońce zeszło nisko nad horyzont i schowało się za chmury spiętrzone groźnie na zachodzie i północy. Ziemia zaczynała szarzeć; kontury pól, wiosek, dróg zlewały się w lekkiej mgiele, która podbiegała od dołu i stała się między lasami. Tor kolejowy rozciągał się w niej i mętniał. Tylko niebo za nami i na południu było jasne, pełne łagodnego blasku, już zaróżowione dokoła chmur, a jeszcze błękitne w zenicie.

Leciałem wprost na zachód, żeby złapać Bug zanim się ściemni i już z rzeką "pod pachą" trafić do Sokala. Byłem rozczerawany tym lotem. Nie tak wyobrażałem sobie zadanie bojowe. Było mi wstyd. Wstyd przed tym pułkownikiem ze sztabu armii, przed Baśką, która miała mnie za "dzielny żołnierz," przed mechanikami, którzy zapewne niepokoiłi się o mnie i o maszynę, przed samym sobą ...

Zobaczyłem Sokal i wieżę klasztoru w ostatnich łunach zachodu. W mieście paliły się już światła. Silny wiatr rzucał maszyną. Benzyna — resztki benzyny — bulgotały w zbiorniku. Dymy z kominów leżały poziomo nad dachami.

Te dymy ... Te dymy — ależ tak! Dymy szły od miasta ku mnie ... — Wiatr zmienił kierunek o 180 stopni — pomyślałem. — Będę lądował od klasztoru na bagno ...

Zrobiło mi się gorąco. Przeleciałem wysoko nad klasztorem i starałem się przebić wzrokiem ciemności. Nie widziałem już ziemi. Nie uświadamiałem sobie, w którym miejscu zaczyna się grzezawisko ...

Zawróciłem i zszedłem na 100 metrów. W skrajnie dostrzegłem, że na środku łąki zapalono trzy ognie, wskazujące kierunek lądowania. Okrzyknąłem lotnisko i zamknąłem gaz. Kompleks budynków klasztoru wylał się z mroku i rósł przede mną. Zdawało mi się, że idę za nisko, ale nie zwiększałem obrotów.

Czerwone dachy weszły pod skrzydła, wieża śmigła z boku powyżej i — maszyna zaczęła mi tonąć nad drzewami sadu, nad łąką, nad trzema ogniskami ... Ziemi nie było — nie było — nie było, choć ścigałem ster coraz bardziej.

Wtem zobaczyłem pod sobą lśnienie wody: bagno! Dodałem gazu, wyrównałem zwolna ster, wyszedłem w powietrze. — Nie wyląduję krócej — pomyślałem.

Na wspomnienie czarnej masy klasztoru, nad którą przeszedłem tak nisko, ogarniał mnie lęk: może się nie udać następnym razem; mogę zawadzić podwoziem. Mimo to, znów domknąłem gaz po okrażeniu. Nieco wcześniej. I znów ciemne mury i załomy dachów szły wprost na maszynę, coraz większe, coraz bliższe, groźne, bo niewyraźne na tle ziemi ...

Tym razem omal nie zawadziłem o komin, wystający u najwyższej krawędzi. Dostrzegłem go w ostatniej chwili, gdy już było za późno, by poderwać samolot gazem. Na szczęście podwozie przeszło obok.

— Teraz chyba wyląduję — pomyślałem.

Ale trzy ognie zbliżyły się szybko, a maszyna niosła się nad ziemią, nie tracąc wysokości. W blasku płomieni zobaczyłem ludzi z zadartymi w górę głowami. Ktoś machał białą szmatą:

—Dodać gazu! Nie starczy miejsca na dobieg!

—Gazu!!! — ryknął mi nad uchem Doppelfenster.

Dodałem gazu. Ale gdy na pięćdziesięciu metrach położyłem maszynę w ostry skręt, silnik przerwał raz, drugi, trzeci ...

Wyrównałem. Chwycił. Ale mógł przerwać lada sekunda: kończyła się benzyna.

—Ląduję z wiatrem, na klasztor! — zawołałem do porucznika.

Nie miał odrzeka i zaparł się w swojej kabinie nogami i rękoma. Nabrałem 100 metrów wysokości i położyłem samolot do skrętu o 180 stopni. Silnik przerywał raz po raz. Zamknąłem gaz i schodziłem ślizgami, żeby szybciej się zniżyć. Niosło nas uprzejmie tuż nad ziemią. Ludzie u ognisk rozbiegli się. Maszyna jeszcze nie traciła pędu. Czarny klasztor wyrastał teraz wysoko, zasłaniając wszystko przede mną. — Nie u-

siadziemy — pomyślałem. — Wpadnę na mur.

Ściągnąłem ster i kopnąłem orczyk. Maszyna poderwała się, przeszła w trawers i przepadała. Rąbnęliśmy podwoziem, odbiło nas w górę i zwałiliśmy się ciężko na ziemię, ibem na dół. Rozległ się trzask, pasy szarpnęły mnie mocno i poczułem, że przewracamy się gwałtownie na plecy.

Przez chwilę wisieliśmy na pasach, głową w dół i nie mogłem namacać klamry. Coś gorącego i lekkiego ciekło mi po twarzy.

Usłyszałem drżący głos porucznika:

—Żyje pan?

—Żyje. Niech pan porucznik mnie odepnie.

Tymczasem nadbiegli ludzie i pomogli mi wyleźć. Stwierdziłem, że wszystkie kości mam całe, tylko teraz ta lepka ciecz spływa mi za kołnier. Doppelfenster też był zdrow i cały. Namacał w ciemności moją rękę, potrząsnął nią i rzekł już pewnym, choć jak zwykle skrzeczącym głosem:

—Sierżancie, dziękuję wam w imieniu służby. Uratowaliśmy honor eskadry.

Nie bardzo wiedziałem, w jaki sposób uratowaliśmy honor eskadry i że w ogóle trzeba go było ratować. Zły byłem, zmęczony i trochę rozbity. W dodatku okazało się, że skaleczyłem się w szyję, sam już nie wiem czym, i że jestem cały ubabrany krwią.

Szukałem oczyma Baśki przy świetle latarni stajennych, które ktoś przyniósł. Nie było jej, ale mój mechanik wsunął mi w rękę karteeczkę zapisaną drobnym, kształtnym pismem: "Muszę pojechać do ratusza. Proszę na mnie zaczekać. O dziesiątej będę z powrotem, Baśka."

To mnie pogodziło ze światem i z ludźmi. Cała przyгода wydała mi się teraz bardziej zabawna, niż przykra.

Zaprowadzono mnie do izby chorych i sanitariusz usiłował mnie udusić bandażem, co udało mu się tylko w połowie, więc poszedłem do swojej kwatery, żeby się umyć i trochę odpocząć. Ale zaledwie się przebrałem, wezwano mnie do dowódcy.

—No, sprawozdanko jest — powiedział Doppelfenster, wypinając brzuch z naganem. — Jadę do sztabu, ale pan może ze mną nie jechać. Został pan ranny i — tego ... O — niech pan tylko podpisać, tu właśnie — sprawozdanie.

Zapytałem, czy mogę przed tym przeczytać.

—Naturalnie. Może pan ma jakie uwagi?

Zaczęłem czytać ten utwór. Czego tam nie było! Najpierw "prawdopodobnie" ostrzelała nas kawaleria z lasów dubnieńskich, ale daliśmy jej szkołę granatami; potem zrównaliśmy z ziemią stację w Dubnie, "prawdopodobnie" niszcząc transporty wojskowe; potem zbombardowaliśmy koszary; wreszcie wróciliśmy w noc na maszynę posiekanej pociskami i wskutek tego ulegliśmy katastrofie. Pilot ciężko ranny; obserwator cudem wyszedł cało ...

Nie powiedziałem ani słowa. Wyjałem pióro i dopisałem: "Melduję, że nikt do nas nie strzelał. Stacja w Dubnie cała. Transportów, ani w ogóle żywego ducha poza kilku żydkami w tym mieście nie ma. Koszary spalone, ale nie przez nas."

Położyłem zamaszysty podpis i zwróciłem dokument porucznikowi. Przeczytał, zaperzył się i — nagle go zatknęło, bo drzwi otworzyły się bez pukania i do pokoju zajrzał mój kapral. Spojrzął na mnie, zmrużył jedno oko i szepnął:

—Jest, panie sierżancie — poczem znikł jak kamfora.

Doppelfenster podniósł wrzask:

—Kto się tu ośmiela wlaźć bez pozwolenia — i t.d.

Wyżościł się, odsapnął i spojrzawszy na mnie z niechęcią, rzekł:

—Niech już będzie. Możecie odejść, sierżancie. Jeszcze raz dziękuję. W imieniu służby.

Potrząsnął moją ręką.

—Ale dziury w skrzydłach świadcza, że nas ostrzeliwano — dodał, jakby pytając.

—Ręcznymi granatami — powiedziałem z uśmiechem. — Dobranoc panu porucznikowi.

Zrobiłem przepisowo w tył zwrot i ruszyłem ku drzwiom.

—Niech się pan wyśpi — doszło mnie naiwne życzenie.

W ciemnym korytarzu czekała na mnie Baśka.

PORUCZNIK HERBERT

Z tygodnia na tydzień

30 marca: W nocy z 30/31 polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi powróciły z tego działania.

Naczelny Wódz udekorował Krzyżem Walecznych pierwszych żołnierzy z Dywizji Karpackiej za czynny męstwa i odwagi, wykazane w boju z Niemcami na froncie włoskim.

Gen. Sosnkowski wydał rozkaz do żołnierzy II Korpusu. W rozkazie tym czytamy: "Start bojowy Polaków na ziemi włoskiej wypadł dobrze. Wasi towarzysze broni z kompanii komandosów, którzy pierwsi znaleźli się w ogniu walki, zdolali już odznaczyć się wielokrotnie, a swoją dzielną postawą zdobyli uznanie i szacunek wojsk i dowództw Sprzymierzonych".

Podpisano dwa układy między Z.S.R.R. a Japonią. Jeden, przedłużający konwencje rybacką na pięć lat, drugi o zniesieniu koncesyj japońskich na Północnym Sachalinie.

31 marca: W nocy z 30/31 polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi powróciły.

W nocy z 30/31 lotnictwo brytyjskie bombardowało b. silnie Norimbergę. W czasie tych działań stracono 94 samoloty. Była to najwyższa dotychczas strata w jednym nalocie.

W Moskwie ogłoszono o zajęciu m. Oczaków przez wojska sowieckie.

1 kwietnia: W Moskwie ogłoszono o zajęciu Podhajec, Komarówki, Tostobaby, Niżniowa i innych miejscowości na ziemiach polskich. Walki toczą się na ulicach Chocimia. Wojska sowieckie nacierają na Odessę.

W Berlinie podano, że walki toczą się na ulicach Stanisławowa.

Naczelny Wódz udekorował dwóch lotników polskich Złotymi Krzyżami Waleczności w m.p. jednego z polskich dywizjonów lotniczych, działającego na terenie Włoch.

W nocy z 31.3./1.4. polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi wróciły.

2 kwietnia: W Moskwie ogłoszono o zajęciu m. Kuty i Kosów w Polsce. Na Bukowinie zajęto m. Herta.

Podpisano polsko-brytyjski protokół dotyczący współpracy między lotnictwem polskim a R.A.F.

W Berlinie podano, że walki toczą się na ulicach Tarnopola i Kowla.

Lotnictwo amerykańskie z baz Morza Śródziemnego bombardowało silnie fabryki lotnicze w Steyr, w Austrii.

3 kwietnia: Lotnictwo amerykańskie z baz Morza Śródziemnego bombardowało za dnia Budapeszt.

W Moskwie podano, że zajęto w Polsce Horochów, Berestecko, Łopatyn. W rejonie m. Skalat otoczono 15 dywizji niemieckich.

Samoloty z brytyjskich lotniskowców bombardowały niemiecki okręt "Tippitz", w jednym z fiordów norweskich.

4 kwietnia: W nocy z 3/4

lotnictwo brytyjskie bombardowało Budapeszt.

Lotnictwo amerykańskie bombardowało Bukareszt za dnia.

W Londynie ogłoszono, że oddział Armii Krajowej dokonał jednego z największych zamachów kolejowych na tyłach niemieckich, mianowicie na linii Lublin-Rozwadów, koło stacji Lipa. 350 żołnierzy niemieckich zostało zabitych lub rannych.

Dwaj przedstawiciele partii komunistycznej weszli w skład francuskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. General de Gaulle został "szefem sił zbrojnych". Stanowisko naczelnego wodza, zajmowane przez gen. Giraud, zostało zniesione.

W Moskwie ogłoszono, że wojska sowieckie w dalszym ciągu nacierają na zachód od Dubna. Większa część Tarnopola znajduje się w rękach sowieckich.

5 kwietnia: Ogłoszony został oficjalny komunikat polski w sprawie stosunku Armii Krajowej do Armii Czerwonej.

Lotnictwo amerykańskie bombardowało za dnia Ploesti.

W Berlinie podano, że Kowel został uwolniony od osaczających go wojsk sowieckich.

6 kwietnia: W nocy z 5/6 polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi powróciły.

Komunikat Sztabu N.W. podał o walkach Armii Krajowej na Kresach Wschodnich w ub. miesiącu oraz o współdziałaniu jej z Czerwoną Armią w natarciu na Kowel.

7 kwietnia: W nocy z 6/7 polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował nad Zatoką Biskajską.

8 kwietnia: W Moskwie ogłoszono, że wojska sowieckie dotarły do granicy Czechosłowacji na Rusi Podkarpackiej oraz, że wojska sowieckie po przekroczeniu Prutu zajęły m. Seret.

Lotnictwo amerykańskie bombardowało silnie Brunswik za dnia.

9 kwietnia: Lotnictwo amerykańskie bombardowało silnie, za dnia, Poznań i Gdynię oraz Malbork, Warnemunde i Tutow. Był to jeden z najsilniejszych nalotów dziennych obecnej wojny.

W nocy z 9/10 polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi powróciły.

W nocy z 9/10 lotnictwo sowieckie ciężko bombardowało Lwów.

Naczelny Wódz udekorował żołnierzy kompanii komandosów i Dywizji Kresowej za męstwo wykazane w walce.

Ogłoszono, że brytyjskie wojska powietrzne lądowały na tyłach wojsk japońskich w Birmie.

Sekretarz stanu Cordell Hull

w przemówieniu radiowym przedstawił zasady polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych.

10 kwietnia: W Moskwie ogłoszono o zajęciu Odessy. Wojska sowieckie przekroczyły Seret i zajęły w Rumunii Suczawę, Raławce i in. Czerwona Armia rozpoczęła ofensywę na Krym.

W Szkocji delegacje wojska, lotnictwa i marynarki wojennej złożyły Prezydentowi R.P. życzenia z okazji świąt Wielkanocy. W odpowiedzi Pan Prezydent powiedział: "Choć przeżywamy dziś okres ciężki, może jeden z najcięższych w wojnie obecnej, nie może być miejsca na zwątpienie w sercach naszych, bo kto zwątpi w zwycięstwo — zwyciężyć już nie może".

11 kwietnia: Podano, że Naczelny Wódz po inspekcji oddziałów Dywizji Karpackiej udał się na odciłek frontu zajmowany przez Dywizję Kresową.

Prezydent R.P. odwiedził oddziały spadochronowe w Szkocji.

W nocy z 10/11 lotnictwo brytyjskie bombardowało Belgię i północną Francję. Zrzucano rekordową ilość bomb, ważących w sumie 3.600 ton.

Lotnictwo amerykańskie bombardowało silnie za dnia Oschersleben, Bernberg, Roztokę i Arnimswalde.

W nocy z 10/11 polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował nad Zatoką Biskajską.

Wojska niemieckie odbiły Buczac.

Naczelny Wódz udzielił w Neapolu wywiadu prasie na temat Polskich Sił Zbrojnych.

12 kwietnia: W Moskwie ogłoszono, że w rejonie Skalat z otoczonych tu wojsk niemieckich 26.000 zginęło, 7.000 wzięto do niewoli.

Lotnictwo amerykańskie bombardowało za dnia fabryki lotnicze pod Wiedniem.

W nocy z 11/12 polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi polskie powróciły.

Prezydent R.P. wizytował Szkołę Podchor. Piechoty i Kawalerii Zmot. w Szkocji.

13 kwietnia: W nocy z 12/13 lotnictwo brytyjskie bombardowało Budapeszt z baz we Włoszech. Za dnia lotnictwo amerykańskie bombardowało fabryki lotnicze w Gyor i pod Budapesztem.

Lotnictwo amerykańskie z baz w Anglii bombardowało za dnia fabryki lotnicze w Bawarii.

W Moskwie ogłoszono o zajęciu stolicy Krymu, Symferopola.

Prezes Rady Ministrów i Minister Obrony Narodowej odwiedzili oddziały wojska polskiego w Szkocji.

14 kwietnia: W Moskwie ogłoszono o walkach na ziemiach polskich, na pd.-zach. od Czortkowa. Zajęto m. Thuste. W dalszym ciągu toczą się walki na Krymie.

W nocy z 13/14 lotnictwo niemieckie przeprowadziło krótki nalot na Londyn.

General Giraud, dotychczasowy naczelny dowódca francuskich sił zbrojnych, został przeniesiony w stan nieczynny.

Naczelny Wódz gen. broni Kazimierz Sosnkowski wydał w Neapolu rozkaz do żołnierzy II. Korpusu po zakończeniu inspekcji.

Prezes Rady Ministrów Stan. Mikołajczyk w towarzystwie Ministra Obrony Narodowej gen. dyw. M. Kukiela w dalszym ciągu wizytacji odwiedzili oddziały Dywizji Panczernej.

15 kwietnia: Prezes Rady Ministrów i Minister Obrony Narodowej odwiedzili oddziały spadochronowe w Szkocji. Przemawiając do żołnierzy, premier Mikołajczyk powiedział: "Chociaż na przestrzeni półtora roku nie było nam troski i chociaż w niemieckim stopniu przejmujemy się nimi, widziałem jasniejsze niż przedtem twarze żołnierzy. Jest to w dużym stopniu wynikiem i dowodem rozwijającego się we właściwym kierunku stosunku między dowódcą a żołnierzem".

15 kwietnia: W Moskwie ogłoszono o zajęciu Tarnopola.

Lotnictwo amerykańskie bombardowało za dnia Bukareszt i Ploesti.

16 kwietnia: W nocy z 15/16 lotnictwo brytyjskie bombardowało m. Turnu Severin w Rumunii. Był to pierwszy nalot lotnictwa brytyjskiego na Rumunię.

W Moskwie podano, że walki toczą się na przedmieściach Sewastopola.

Wojskowi przesyłają swe datki do FUNDUSZU SPOŁECZNEGO WOJSKA

Konkurs na reportaż wojenny

Związek Dziennikarzy R.P. Sekcja w Londynie ogłasza konkurs na reportaż bojowy.

Tematem mogą być działania każdego rodzaju broni z uwzględnieniem także i służby sanitarnej, przy czym reportaż oparty być winien na wydarzeniu prawdziwym. Reportaż nie powinien przekraczać 1.500 słów. Konkurs otwarty jest dla wszystkich, przy czym w grę oprócz akcji lotnictwa i marynarki mogą wchodzić opisy kampanii wrzesniowej, norweskiej, francuskiej, afrykańskiej, włoskiej oraz walka podziemna

DYWIZJON ZIEMI ŚLĄSKIEJ

Ze względów służbowych oraz z uwagi na warunki lokalne — tegoroczny obchód "Świąt Dywizjonu" w dniu 24 kwietnia odbędzie się w ramach najskromniejszych, dostosowanych do przeżywanej chwili obecnej. Żadne zaproszenia rozsyłane nie będą. Kto z byłych żołnierzy dyonu pragnąłby wziąć udział w "Świącie" — zechce powiadomić o tym najpóźniej do dnia 15 b.m. adiutanta dyonu.

w Kraju. Celem, który przyświeca Związkowi Dziennikarzy przy ogłaszaniu niniejszego konkursu jest wyszukanie w szeregach wojska polskiego i polskiej emigracji wojennej młodych talentów dziennikarskich.

Termin nadsyłania prac do dn. 1-go lipca 1944 r. /Adres: Polish Union of Journalists, 45, Belgrave Square, London, S.W.1./

Każda praca musi być zaopatrzona godłem, które należy umieścić również na zaklejonej kopercie, zawierającej nazwisko i adres autora.

W skład sądu konkursowego wchodzi pp. Zygmunt Nowakowski, Tymon Terlecki, kmrdr. ppor. Bohdan Wroński, Andrzej Płodowski, Tadeusz Horko, Bolesław Wierzbiański.

Nagrody: Naczelnego Wodza — £30. Ministra Obrony Narodowej — £25.

Ministra Informacji i Dokumentacji — £20 /za pracę najlepszą z punktu widzenia celów propagandy polskiej wśród cudzoziemców/. Światowego Związku Polaków

z Zagranicy — £20 /za pracę związaną z przeżyciami żołnierzy Polaków z zagranicy, względnie za pracę, której autorem jest Polak z zagranicy/.

Związku Dziennikarzy R.P. — £15. Funduszu Kultury Narodowej — £10 /za pracę odznaczającą się najpiękniejszą polszczyzną/.

Prace nagrodzone pozostają własnością autorów i mogą być zakupione przez poszczególne pisma. Zarząd Związku Dziennikarzy uzyskał zaopiniowanie szeregu zakupów ze strony redakcji pism polskich i polskich agencji prasowych na terenie Wielkiej Brytanii.

Wszystkie nagrody będą przyznane i nie będą dzielone.

WIECZÓR POEZJI, PIOSENKI, MUZYKI I TAŃCA

W sobotę dnia 22 kwietnia o godz. 19,15 w Klubie Białego Orła odbędzie się Wieczór poezji, piosenki, muzyki i tańca — w wykonaniu ochotników P.S.W.K., które zdobyły sobie ogólne uznanie na Bliskim Wschodzie.

LIST KOMANDOSA

Szanowny Panie Redaktorze, Dotarli do nas grudniowe i styczniowe numery "Polski Walczącej". Chwytałyśmy ciekawymi oczyma każdy nagłówek, każdy wiersz. Byliśmy niemal pewni, że znajdziemy coś o nas, chociażby jakąś wzmiankę. Dwa te bowiem miesiące są wypełnione naszymi krwawymi walkami nad Sangro i Garigliano. Tymczasem spotkał nas zawód. Egzemplarze przedawane były artykułami o wszystkich broniach, zabrakło "Commandosów". Zainteresowała się nami prasa angielska na terenie Włoch, wspomniała radio — Wy ciągle milczycie. Nie chodzi tu przecież o gloryfikację naszych czynów czy aureole, chodzi przede wszystkim o naszą wspólną wielką Sprawę.

Dochodzą nas natomiast wieści o rozterkach i waśniach emigracyjnych. Czas chyba najwyższy z tym wreszcie skończyć. Powaga chwili wymaga większego, niż kiedykolwiek zjednoczenia. O ileż pożyteczniej byłoby by zając się naszymi walkami, wyciągnąć je na arenę sędziowską. Przesłaliśmy tutaj świadomości swych słusznych postulatów. Walczymy o całość naszych ziem, wierzymy mocno, że Polska z wojny tej wyjdzie powiększona. Nie zgadzamy się, aby, kiedy my przelewamy krew w górach Apenińskich, dyskutowano nasze granice. Tego mamy prawo żądać, wszak dajemy największą ofiarę, ofiarę krwi. To warto by powiedzieć światu.

Piszę te słowa po przeczytaniu w gazecie angielskiej artykułu, kwestionującego nasze granice wschodnie, który tu wzbudził ogólne oburzenie wśród nas. Pogląd ten, któremu tu daje wyraz, nie jest tylko moim osobistym, lecz większości /chyba: wszystkich/ żołnierzy pol-

skiego "Commando". Jeżeli zechciałby pan szerzej zainteresować się naszym życiem, chętnie służymy pomocą.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Konrad Brawliński

W SPRAWIE POLSKICH KOMPANII PPANC. W KAMPANII FRANCUSKIEJ

Szanowny Panie Redaktorze, Numer "prima-aprilisowy" "Polski Walczącej" sprawił niezmiernie miłą niespodziankę niedobitkom nieznanym żołnierzom z nieznanych praktycznie dotąd kompanii przeciw-

pancernych. Dobrze i słusznie się stało, że urok mlenczenia przerwany został przez staranne opracowany, choć z konieczności niekompletny artykuł p. Stefana Grucy: "Polskie Kompanie Przeciw-Pancerne w Kampanii Francuskiej 1940 r" /nr. 13/.

Nie mogły oddziały te wplnąć na przebieg ciężkich dni owego czerwca, podobnie zresztą jak i wielkie polskie jednostki, których żołnierzom dane było przynajmniej walczyć i ginąć wśród swoich; ci zaś śmierć i poświęcenie ich łatwiej mogli w pamięci przechować. Nie zawsze było to naszym udziałem. Rozdrobnieni nieraz do działonów wśród mas fran-

cuskich towarzyszy broni, przecieć byliśmy tak często ostoja i otucha dla zdeorganizowanych i oszołomionych sprzymierzeńców. A było wielu wśród nich, którzy potrafili ocenić wierność honorowi. Tyłu Francuzów patrzyło na te kilkanaście kompanii, jak na żadną wielką jednostkę. I myślę, że wśród wielu z nich imię polskiego żołnierza będzie dobrym wspomnieniem.

Po tych uwagach odnoszących się do wszystkich kompanii, pragnąłbym kilka słów poświęcić kompanii kapłana K., która przydzielona była nie — jak mylnie wydrukowano — do 83-ej, lecz do 53-ej Lekkiej Dywizji

Skrzynka pocztowa

Poradnik żołnierski

"1 + 17" pancerników. — List Kolegów zakomunikowaliśmy autorowi. Ze swojej strony zauważamy, że wyrażony w tym liście pogląd jest niesłuszny i głęboko krzywdzący. Przeczą on tę prostą okoliczność, że wojna składa się z osobistych przeżyć każdego zamieszanego w nią człowieka, że każdy ma prawo dać taki jej obraz, jaki odciska się w jego wrażliwości. W toku toczącej się walki tylko dwa jej ujęcia mogłyby być zacepiane: takie, które nie odpowiadają prawdzie i takie, któreby w jakikolwiek sposób osłabiało zbiorowego ducha walki. Żaden z tych momentów nie ma zastosowania do wspomnień, które spowodowały nasz list. Wielu Kolegów — b. jeńców podkreślało prawdziwość szczegółów i ogólnego przedstawienia życia w obozach jenieckich. Z drugiej strony artykułu i wspomnienia, drukowane w "Polsce Walczącej", postawiły sprawę jeńców w nowym świetle, pobudziły ofiarności na rzecz pomocy dla nich, co znalazło także wyraz w zbiorce na "paczki od serca".

Niezależnie od tego, że się nie zgadzamy z Kolegami w ujęciu tej sprawy, dziękujemy za szczerść i prosimy o dalszy kontakt.

Ppor. Wł. Ch. — Korespondowanie z Amerykanami polskiego pochodzenia. Bardzo dziękujemy za

nadesłanie 11-tu adresów Amerykanek polskiego pochodzenia, które pragną nawiązać korespondencję z polskimi żołnierzami na obczyźnie. Ponieważ ogłoszenie tych adresów w "Polsce Walczącej" mogłoby spowodować, że jedne osoby otrzymałyby zbyt wiele listów, a inne bodaj żadnego, przeto adresy te przekazaliśmy do Brygady Strzelców 1. Dywizji Panc. celem przydzielenia ich odpowiednim żołnierzom. Sądymy, że taka droga jest najwłaściwsza.

HAVE YOU ANY SKIN TROUBLE ?

ST. JAMES' BALM
ANTIVIRUS OINTMENT

DESTROYS GERMS
AND PREVENTS THEIR DEVELOPMENT

Send for **FREE SAMPLE**

MEDICO-BIOLOGICAL LABORATORIES Ltd
CARGREEN ROAD, LONDON, S.E. 25

W/o. L.A.: Sprawa cenzury i czapki. — W pierwszej sprawie, którą pan porusza w swym liście, nie wyjaśnia pan dokładnie szczegółów i okoliczności, skutkiem czego nie mamy możliwości zwrócić się pod właściwym adresem o wyjaśnienie. Jeśli panu zależy na satysfakcji, to raczej niech pan zwróci się bezpośrednio do tego biura cenzury, z którego dostał pan "pouczenie" i wyjaśni wypływające z owego "pouczenia" niedorzeczności. Jeśli i tym razem nie dostanie pan odpowiedzi, to może pan wówczas złożyć meldunek do Ministra Obrony Narodowej.

Tymczasem jednak radzimy panu korespondować ze swoim bratem na Middle East za pośrednictwem "Air-graphów". Blankiety tych listów może pan dostać w każdym urzędzie pocztowym. Opłata za taki list wynosi tylko 3 pence, poczta wysyłana tą drogą jest pewna i szybka, a — co najważniejsze — nie spotka się pan /mamy nadzieję/ z "pouczeniami", które nie mają zastosowania życiowego w polskiej eskadrze przy R.A.F.'ie, gdzie nie ma instytucji "oficera pocztowego", ani innych cenzuralnych trudności.

Druga sprawa jest dużo prostsza: chorążym /warrant officer/ w polskim lotnictwie przysługujące noszenie czapki okragłej typu oficerskiego.

Piechoty.

Dnia 1 czerwca Kompania załadowała się w Wersalu i rankiem znalazła się w Maily le Camp, gdzie dołączyła do swojej Dywizji. Dowódca Dywizji przydzielił Kompanię do 208 p.p. Następnie trzema nocnymi marszami Kompania dotarła na odciłek wzdłuż rzeki Marne, w pobliżu m. Chalons i zajęła wyznaczone stanowiska o świcie dnia 5 czerwca. Podczas pobytu na tym odcinku Kompania styczności z nieprzyjacielem naziemnym nie miała, natomiast poniosła pewne straty od bombardowania lotniczego.

Dnia 14 czerwca przed świtem dowództwo francuskie zarządziło odwrót. Oś odwrotu była w godzinach popołudniowych wielokrotnie bombardowana przez samoloty nerkujące, co spowodowało dość znaczne straty w Kompanii.

O świcie dnia 15 czerwca Kompania obsadza stanowiska na zaimprovizowanej linii obronnej wzdłuż rzeki Aube na wprost m. Arcis. W wykonaniu rozkazu Kompania zbiera się pod wieczór do dalszego odwrotu. Przed zmrokiem gwałtowny napad lekkich elementów nieprzyjaciela zostaje odparty, lecz Kompania znów ponosi znaczne straty w ludziach, koniach i sprzęcie.

Wśród ciągłych nalotów i zdezorganizowanej Dywizji uszczuplona Kompania daje dowody wytrwałości żołnierskiej, pełnić bezustannie obronę kolumny p-panc.

Po przekroczeniu Sekwany w dniu 16 czerwca elementy Kompanii stają się trzonem zaimprovizowanego przeciw-natarcia, które odrzuca pułk piechoty zmotoryzowanej nieprzyjaciela i toruje drogę cofającym się na Dijon dywizjom.

Dijon atoli jest już zajęte; pierścieni wojsk niemieckich zacieśnia się. Oddziały francuskie na wieść o prośbie swego Rządu o zawieszenie broni ogarnia zupełną bierność, zaprzestają wszelkiego oporu.

Niedobitki Kompanii niszczą pozostały sprzęt i 20 czerwca wyostają się z matni. Jeszcze mniej dociera ich do Francji nieokupowanej z przewidywaniem spełnionej do końca powinności wobec Kraju i sprzymierzeńców w prawdziwie gorzkich okolicznościach.

Łączę wyrazy poważania i szacunku

Brunon Kurnatowski

* Od czasu napisania tego listu drukowaliśmy następujące artykuły i reportaże o komandosach: N.Z.: "Polscy komandosi walczą" w nr. 8; Jerzycz: "Mój pierwszy patrol" w nr. 9; Jerzy Jachimowicz: "Na komandosowskim szlaku" w nr. 10; Maciej Drzewica: "Ostatni patrol rtm. W." i Jerzycz: "Słabe odgłosy" w nr. 13 oraz utwór poetycki Or-Si'ego: "Gwiazdy komandosa" w tym samym numerze "Polski Walczącej" z b.r.

Dla Polaków w Rosji: £10,838

Redakcja "Polski Walczący",
5, Portugal St., London, W.C.2.
W załączeniu przesyłam M.O. na
kwotę £3 sh.13 złożoną przez żoł-
nierzy tut. dyonu w miesiącu marcu
r.b. z przeznaczeniem na pomoc Pol-
akom w Rosji.
Dowódca Dyonu
w/z M.K. kapitan

P.T. Redakcja "Polski Walczący",
Wraz z życzeniami świątecznymi
składam sh. 10 na Pomoc Polakom
w Rosji.
Strumiński M.

Łączną sumę zbiórki w dzisiej-
szym numerze £4.3.0 /słownie: czte-
ry funty trzy szylingi/ przekazali-
śmy Polskiemu Czerwonemu Krzy-
żowi.

Suma powyższa podnosi
ogólną sumę zebraną do-
tychczas na ten cel za
pośrednictwem "Polski
Walczący" do £10,838.45
/słownie: dziesięć tysięcy
osiemset trzydzieści
osiem funtów, cztery szy-
lingi i pięć pensów/, 28
dolarów kanadyjskich, 108
pesetów hiszpańskich, 5,50
dolarów amerykańskich,
15 czerwieńców i 100 mil-
rejsów brazylijskich.

"POLISH CHILDREN RESCUE FUND"

P.T. "Polska Walcząca", Londyn,
W załączeniu przesyłam Money
Order nr. T.S. 90092 na sumę £5 na
pomoc jeńcom i dzieciom polskim za-
miast tradycyjnej "lampki wina"
z okazji awansu.
por. M.D.

"Polska Walcząca" Londyn,
Z okazji przyścia na świat syna
przesyłamy na fundusz pomocy dzie-
ciom polskim w Rosji £5.
Mila i Aleksander B.

MARYNARKA WOJENNA NA "POLISH CHILDREN RESCUE FUND"

Oficerowie, podoficerowie i mary-
narze Polskiej Marynarki Wojennej
przekazują £225 /słownie: dwieście
dwadzieścia pięć funtów/ na Polish
Children Rescue Fund.

Editor of the "Fighting Poland",
London, S.W.1.

Dear Sir,
I enclose herewith a Money Order
for £2 /two pounds/ collected by the
members and guests of the Kirk-
michael W.R.I. /Perthshire/ after
my talk on Poland given to them on
the 17th March, 1944.

The above sum is intended as a
contribution towards the "Polish
Children's Relief Fund" and I should
be very much obliged if you would
kindly charge yourself with its trans-
mission.

Yours sincerely,
/Mrs./ Irene Koval

Szanowny Panie Redaktorze,
Kolo Opieki nad Żołnierzem
w Edynburgu polecił mi przesać na
reçe pana cztery funty czternaście
szylingów na rzecz biednych dzieci
w Polsce. Są to pieniądze ze składek
zebranej samorzutnie, w pierwszym
dniu świąt, podczas święconego w Do-
mu Żołnierza w Edynburgu, przez
przejeżdżających żołnierzy armii ląd-
owej, marynarzy i lotników.

Może zechce pan łaskawie podać te
szczegóły w "Polsce Walczącej".
Wszyscy byliby za to wdzięczni.

Najuprzejmiejsze wyrazy łączę
Teresa Jeleńska

Redakcja "Polski Walczący",
Zamiast wysyłania życzeń wielka-
nocnych przesyłamy £2 na pomoc dla
polskich dzieci w Polsce.
Zygmuntowie

Sumę £241.4.0 /słownie: dwieście
czterdzieści jeden funtów, cztery
szylingi/ przesyłamy do Polish Chil-
dren Rescue Fund.

Zbiórka książek

Do redakcji "Polski Walczący",
Zebrane wśród żołnierzy książki
— W. Sobieski: "Historia Polski",
J. Chociszewski: "Dzieje Narodu
Polskiego", M. Hemar: "Adolf Wiel-
ki", A. Słonimski: "Alarm", B.
Prus: "Placówka", A. T. Lutosław-
ski: "O propagandzie", T. Śmigiel-
ski: "Przemiany sposobów walki",
Dr. M. Lachs: "Ghetto Warszawy",
W. Kisielewski: "Propaganda", I.
Matuszewski: "O co walczyliśmy",
W. Dłużewski: "Droga do Polski",
A. Słonimski: "Popiół i wiatr", R.
Górecki: "Z moich wspomnień o Jó-
zefie Piłsudskim", "Marsz Odweto-
wy", przysyłam pod adresem Szan-
ownej Redakcji z przeznaczeniem
dla naszych oddziałów na Bliskim
Wschodzie.
ppor. B.S.

Bezimiennie z Alloa:
Carlyle: "Political liberty", Mrs.
Sherwood: "The nun", V. Bayley:
"Permanent way through the
Khyber", A. H. Verrill: "Strange
birds and their stories", Newsholme:
"Fifty years in public health",
"Documents of German-Polish rela-
tions", "The Geographical Maga-
zine", "English for the Allies", G. B.
Harrison: "A book of English
poetry", B. M. Croker: "The real
Lady Hilda", "British life and
thought", G. Schuster: "India and
democracy", "Belgium", F. Gard-
ner: "Days and ways of an old
Bohemian", "Europe under the Nazi
scourge" i jeden zeszyt "Bellony".

Bezimiennie z Alloa:
H. Sienkiewicz: "Potop", W. So-
bieski: "Historia Polski", J. Choci-
szewski: "Dzieje narodu polskiego",
A. Mickiewicz: "Księgi narodu pol-
skiego", B. Wdąły: "Niemyca w Pol-
sce", S. Żeromski: "Wierna rzeka",
H. Łach-Łocki: "Postugiwanie się
mapą angielską" /2 egz./, E. Li-
gocki: "Echa z martwego domu" /3
egz./, "O Polsce i o wojnie" /5 egz./,
S. Wyspiański: "Warszawianka" /2
egz./ i 2 broszurki.

Dotychczasowa suma zbiórki wy-
nosi 3607 książek.

Na "paczki od serca": £2,625

Do Redakcji "Polski Walczący",
w Londynie,
W załączeniu przesyłam z przezna-
czeniem na "paczki od serca": Money
Order Nr. T.S. 53457 na £3.15.0,
Postal Order Nr. W.I. 97.488055 na
£1, Postal Order Nr. W.I. 52.841679
na sh.10, Postal Order Nr.
F3.36.857366 na sh.5. Razem £5.10.0
/słownie £ pięć i szylingów dziesięć/
por. H.B.

W załączeniu przesyłam Postal
Order WI 99,828, WI 99,699,828,
WI 99,699,830, WI 99,699,832 na łą-
czną sumę £5 /pięć funtów/ na
"Paczki od serca" z okazji awansu.
Boles

D-ca i Korpus oficerski . . . Pułku
Artylerii Przeciwlotniczej, składają
£2 na paczki dla jeńców zamiast ży-
czeń Wielkanocnych.
Adjutant Pułku
Z. Cel. por.

W załączeniu przesyłam £17.0.0
/słownie: siedemnaście funtów/ na
pomoc jeńcom polskim w Niemczech.
Suma ta została zebrana w miesiącu
marcu 1944 przez uczniów i personel
stały Dyonu Wyszkozenia Przedwste-
pnego /A.C.T.C./ w H.
Adjutant Dyonu
W.H. porucznik-pilot

W załączeniu przesyłam British
Money Order na kwotę £2.10.0 na
"paczki od serca" dla jeńców wojen-
nych od Komendanta i personelu tut.
Szkoły, zamiast życzeń świątecznych.
Komendant Szkoły
Pplk. R.

W załączeniu przesyłam £2.3.0 "na
paczki od serca".
Kwotę powyższą zebrali ochotnicy-
żołnierze z terenów Polonii europej-
skiej, na II kursie kulturalno-owski-
towym dla działaczy społecznych,
który odbył się w dniach od 27 marca
— 5 kwietnia b.r. w Edynburgu.
Łączę wyrazy szacunku i poważa-
nia
p.o. Prezes Światowego Związku
Polaków
/Dr. B. Hełczyński/

Dear Sir,
I have pleasure in sending you

herewith cheque for £8.1.8 represent-
ing a collection taken at a War Com-
mentary in conjunction with the
Rotary Club of Dumfries on 2nd inst.
Yours faithfully,
W. R. Dickson,
Hon. Treasurer.

Zamiast tradycyjnej lampki wina
z okazji awansu £2.10.0 na pomoc
jeńcom.
por. M.D.

Redakcja "Polski Walczący",
Dowódca i oficerowie . . . Pułku
Artylerii Motorowej zamiast życzeń
świętecznych na paczki od serca £5
/pięć/
P/53 Polish Forces

Redakcja "Polski Walczący",
Zamiast wysyłania życzeń Wielka-
nocnych przesyłamy £1.10 na "Pa-
czki od serca" dla jeńców polskich
w Niemczech.
O.C. podch. mar. rez.

Przesyłam W.Panom kwotę
£15.18.9 na "Paczki od Serca" dla
jeńców polskich w Niemczech.

Kwota w wysokości £13.18.9 zosta-
ła zebrana w czasie wyświetlania na
naszej stacji podczas Świąt Wielka-
nocnych filmów polskich dostarczo-
nych nam bezinteresownie przez
p. inż. Ożę z Londynu.
Kwota £2 została złożona na moje
reçe na ten sam cel przez kpt. P.
Oficer Oświatowy . . . Airfield H.Q.
J.B.

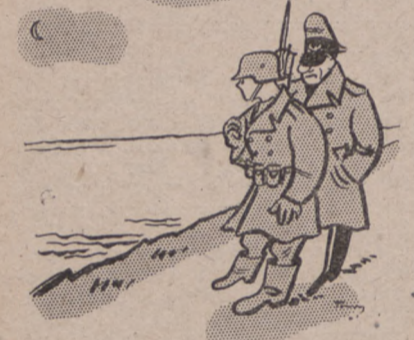
Łączną sumę zbiórki w dzisiej-
szym numerze £66.3.5 /słownie:
sześćdziesiąt sześć funtów, trzy
szylingi i pięć pensów/ przekazaliśmy
Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wo-
jennym Stowarzyszenia Służby Spo-
łecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi
ogólną sumę zebraną do-
tychczas na ten cel za
pośrednictwem "Polski
Walczący" do £2,625.11.10
/słownie: dwa tysiące
sześćset dwadzieścia pięć
funtów, jedenaście szylin-
gów i dziesięć pensów/, 50
milrejsów brazylijskich i
2 dolary amerykańskie.

WERINAJSEK

... SMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE ...

NAD KANAŁEM



—Panie poruczniku, a jak wyglą-
da nasz . . . "second front"?
—Dobrze! Oddaliśmy już Odesę,
Jassy i cofamy się do Ploesti.

MODA A WOJNA

No wie pani, czwartą wiosnę cho-
dzi pani w tym samym kapeluszu!
—Czekam na inwazję.
—A co ma wspólnego kapelusze
z inwazją?
—Owszem — nowe modele pary-
skie.

WSRÓD RODAKÓW

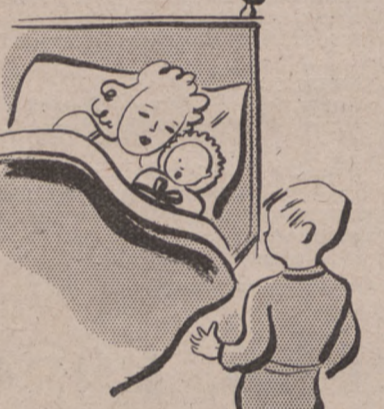
—Jak pan spędził święta?
—Lepiej nie mówić!
—Tak fatalnie?
—Nie, tylko lepiej nie mówić, bo
rodacy zazdroszczą . . .

JAK MAŁY STAŚ WYOBRAZA SOBIE



pierwszego żołnierza, który otworzył
drugi front.

ZNAWCA



—Mamusiu, a kiedy nam bocian
przyniósł braciszka?
—W nocy, syneczku!
—To on chyba też leci na "radio-
lokację".

AUTENTYCZNE

Tramwajem w Warszawie jedzie
ktoś z Wielkiej Brytanii. Poznają go
znajome panie i jedna z nich woła:
—Na miłość boską, co pan tu ro-
bi?
—"Ukrywam się" — głośno odpo-
wiada przybysz.

DOWCIP ANGIELSKI

—Wie pan kiedy skończy się woj-
na?
—Nie wiem!
—Jak Amerykanie zdobędą Tokio,
Rosjanie — Berlin, a my — Cas-
sino . . .

ŚMIERĆ WESZKI

Tam, gdzie oddział wojska mieszka
na kwaterach swoich bogo,
zabłąkała się raz weszka,
lecz nie mogła gryźć nikogo.
Usychała więc pomatu,
aż umarła z wycieńczenia.
Bowie przysła do oddziału
bez karty zaopatrzenia . . .
Or-Si

PRZEWIDYWANIA

—A ja panu mówię, że inwazja
kontynentu rozpocznie się w sobotę!
—Dlaczego w sobotę?
—Anglicy zawsze wyjeżdżają w so-
boty na "week-end" . . .

POMYŁKA . . .

W polskim barze pan Żółtko zama-
wia kolejkę:
—Proszę dwa koniaki!
—Dla mnie też dwóch koniaków —
dorzuca jakiś kapral.
—Sorry — poprawia się pan
Żółtko — dla mnie też dwóch konia-
ków. Każdy może się pomylić! . . .

POLITYKA WSRÓD PAŃ

—Słyszała pani, że mąż Biurkiewi-
czowej wyjechał w ważnej misji do
Ameryki?
—Głupstwo misja — ale te poń-
czochoy! . . .

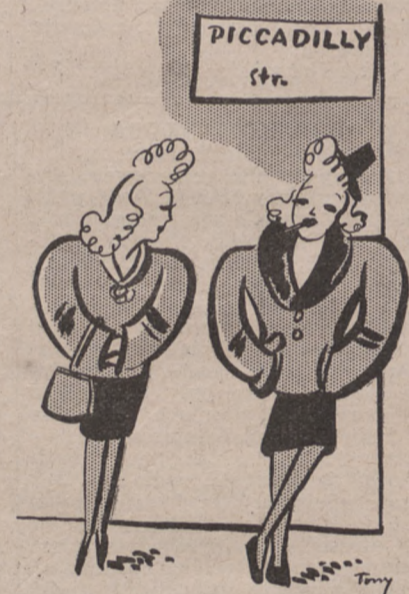
AUTENTYCZNE

—Widzę, że pan robi duże postępy
w języku angielskim — nawet
i akcent jest niezły!
—Być może, zawsze jak mam kat-
tar, mówię znacznie płynniej . . .

ROZMOWA W OGONKU

Przed sklepem w Londynie stoi o-
gonek. Do jegomościa stojącego
w pierwszym szeregu podchodzi nie-
znajomy:
—Sorry, co mogę tutaj dostać?
—Na końcu ogonka — zylaki,
przede mną — po gębie . . .

NA PICCADILLY



—A ja ci mówię, że inwazja za-
cznie się dzisiaj w nocy — od dwóch
godzin nie widać Amerykanów . . .

Tekst i rysunki: TONY

Staraniem Sekcji Londyńskiej
Związku Dziennikarzy R.P., odbędzie
się w Ognisku Polskim, 45, Belgrave
Square, S.W.1 w czwartek, dnia 20
kwietnia b.r. o godz. 6 pp. odczyt
p. Mariana Czuchnowskiego, p.t.
"OD MORZA KASPIJSKIEGO DO
LONDYNU"
Wstęp wolny.

SPIS RZECZY:

Zbigniew Grabowski: Klucz przy-
szłości. — M. J. Gordon: Nowości
lotnicze. — Zbigniew Grabowski:
Szkic sytuacyjny. — M. K. Dziewa-
nowski: Gdy Berlin leży w gruz-
kach . . . /I./ — Stefan Łaszewski:
Amerykanie na gruncie europejskim.
— Aleksander Janta: Milczysz. —
Polacy na ziemi włoskiej. —
Marciej Drzewica: Patrol koman-
dosów na Ataletta /Koresponden-
cja własna "Polski Walczący"/ —
Porucznik Herbert: Doppelfenster.
— Z tygodnia na tydzień. — Konkurs
na reportaż bojowy. — Skrzynka
pocztowa. — Poradnik żołnierzy. —
Dla Polaków w Rosji. — Polish
Children Rescue Fund. — Na paczki
od serca. — Zbiórka książek. —
Tony: Werinajsek. — Fotografie.

MINISTERSTWO WYZNAŃ RELIGIJNYCH
I OŚWIECENIA PUBLICZNEGO
zawiadamia, iż w polskich księgarniach i kioskach można nabyć:

1.—M. FALSKI
"ELEMENTARZ"
Str. 154. Cena 1/6

2.—M. FALSKI
"PIERWSZA CZYTANKA DLA DZIECI"
Str. 158. Cena 1/6

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OSWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką
pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem
Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia
o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505
i 5506.

ZJAZD B. JEŃCÓW
Zarząd Związku Byłych Jeńców
z niewoli niemieckiej zawiadamia
wszystkich byłych jeńców z niewoli
niemieckiej, iż walny zjazd Związku
odbędzie się dnia 23 kwietnia /nie-
działa/ br. o godz. 3 pp. w sali "Ma-
sonic Hall", Hill Str., w Edynburgu.
Porządek dzienny obejmuje: 1/
Zagajenie, 2/ Wybór Prezydium, 3/
Sprawozdanie zarządu tymczasowe-
go, 4/ Uchwalenie statutu, 5/ Wy-
bór nowych władz, 6/ Wolne wnioski.
Bliższych informacji udzielać bę-
dzie sekretariat zarządu w godzinach
przedpołudniowych w niedzielę dnia
23-go kwietnia w "Domu Żołnierza"
w Edynburgu.

Polsko-angielski i angielsko-
polski
słownik kieszonkowy
"DUX"
z wymową, 500 str. — 1,000
kolumn.
Cena 9/6
SKŁADNICA KSIĘGARSKA
8, HOPE STREET, EDINBURGH

BE TALLER!
INCHES PUT YOU
MILES AHEAD!
Increased my own height to
6ft. 3ins.
CLIENTS GAIN 1 to 6 inches
No Appliances—No Tablets—
No Dieting
Ross System Never Fails
Fee £2 2s. Complete
Details 6d. stamp
MALCOLM R. ROSS
Height Specialist
BM/Hyte, London, W.C.1